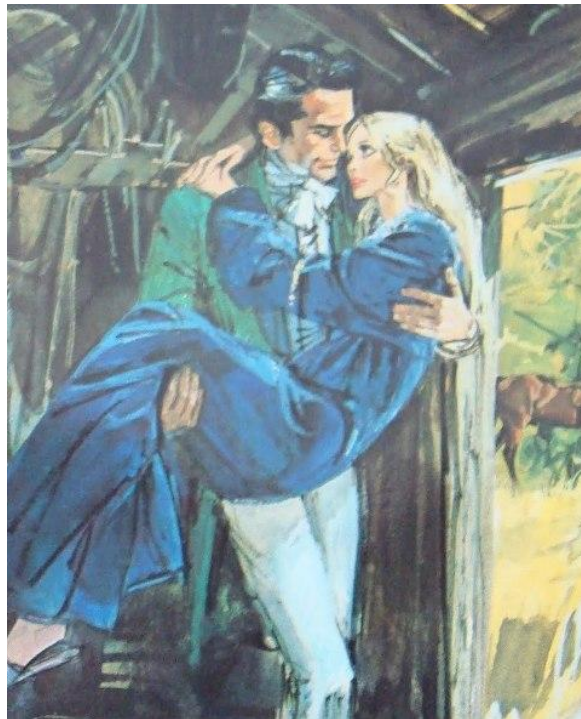


Barbara Cartland

Kłamstwa dla miłości

Lies for love



Rozdział 1

Henry, przestań kopać Lucy i dokończ owsiankę! - rozkazała Carmela.

- Nie!

Henry był grubym, brzydkim siedmiolatkiem i zdaniem Carmeli absolutnie nikt nie miał na niego wpływu. Aby jeszcze raz zademonstrować swą niezależność, kopnął Lucy tak mocno, iż dziewczynka się rozplakała.

- Przestań! Słyszysz, co do ciebie mówię? - rzuciła ostro Carmela w nadziei, iż wyrze to na chłopcu jakieś wrażenie.

Miała rację.

Henry uniósł miseczkę z owsianką i z rozmysłem odwrócił ją do góry dnem.

Jednocześnie śpiące w łóżeczku dziecko obudziło się na krzyk Lucy i zaczęło płakać.

Nic na to nie poradzę, pomyślała bezradnie Carmela.

To, że dzieci pastora będą zachowywały się najgorzej ze wszystkich dzieci we wsi, było do przewidzenia.

Carmela wiedziała, że nie jest w stanie uspokoić Henry'ego i że Lucy i tak nie przestanie płakać, podeszła więc do łóżeczka dziecka, by ukołysać je w ramionach.

Otwarły się drzwi i do środka zajrzała żona pastora.

- Nie możesz ich uspokoić? - powiedziała z wyrzutem w głosie. - Wiesz przecież, że pastor pisze kazanie na jutro.

- Bardzo mi przykro...

Żona pastora nie czekała na odpowiedź i z hukiem zamknęła drzwi.

Henry poczekał jeszcze chwilę i przekrzykując siostrę zażądał:

- Chcę jajko!

- Najpierw zjedz owsiankę - odpowiedziała stanowczo Carmela.

Dobrze jednak wiedziała, iż jej stanowczość na nic się nie zda.

Wykorzystując moment jej nieuwagi, Henry zgarnął ze stołu jedno z dwóch jajek przeznaczonych dla Lucy i Carmeli.

Carmela podjęła się roli opiekunki dzieci na plebanii, ale od razu zdała sobie sprawę, że zawsze będzie brakowało jej sprytu niezbędnego do upilnowania tego chłopaka.

Jego rodzice musieli wiedzieć, że był trudnym dzieckiem, lecz nie zrobili nic, by go wychować. Zawsze na wszystko się zgadzali, pozwalając mu mieć własne zdanie w każdej niemal sprawie. Na efekty nie trzeba było długo czekać: niczym kukułka wyrzucająca z gniazda inne pisklęta, Henry rozpychał się łokciami wśród rówieśników, zawsze zdobywając wszystko, na co tylko miał ochotę.

Czasami, gdy późnym wieczorem Carmela kładła "się do łóżka, zbyt zmęczona by zasnąć, zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma z dziećmi, na które nie ma absolutnie żadnego wpływu.

Po śmierci ojca jednak musiała poszukać sobie jakiegoś zajęcia i kiedy pani Cooper zaproponowała jej miejsce na plebanii, wydawało się, że to rozwiąże wszystkie problemy.

Mówiła sobie, iż będzie przynajmniej wśród ludzi, których zna i których nie musi się obawiać. Gdyż zostawszy sierotą uświadomiła sobie, że boi się samotności, że przeraża ją perspektywa wyjścia w obcy, wrogi świat. Ale rzeczą, której bała się najbardziej, była jej własna nieudolność.

Ojciec zawsze uważał ją za bardzo inteligentną, nie miało to jednak nic wspólnego z umiejętnością zarabiania pieniędzy pracą umysłową.

On sam próbował kiedyś zarabiać własnym talentem i zaczął sprzedawać malowane przez siebie obrazy. Nie zyskał jednak zbyt wielu wielbicieli; wszystko sprowadziło się do tego, iż nikt nie chciał ich kupować.

Kiedyś przypadkowo otrzymał dużą sumę - jak wówczas wydawało się jej matce - za portret miejscowego dygnitarza, ale większość obrazów, które malował, była w jego opinii „zbyt piękna, by je sprzedać”.

Właśnie takich słów używała jej matka na określenie twórczości swojego męża, i choć wszyscy się z tego śmiali, Carmela doskonale zrozumiała, o co jej chodziło, a również dlaczego malowidła jej ojca nie przemawiały do przeciętnego nabywcy.

Ale dla niej styl, w jakim malował poranną mgłę, unoszącą się nad strumieniem, czy zachód słońca za dalekimi górami, był tak pełen uroku, iż patrząc na nie, czuła się jakby przeniesiona w inny świat, świat, z którego istnienia tylko ona i jej ojciec zdawali sobie sprawę.

To był ten sam świat, który poznała w dzieciństwie, gdy opowiadał jej baśnie o elfach i nimfach; gdy pokazywał leżące w lesie kapelusze grzybów i wyjaśniał, iż w tym miejscu zeszłej nocy tańczyły krasnale...

Świat cudu i piękna, bardzo dla Carmeli realny, ale jednak nie poddający się pędzlowi malarza. Obrazy Peregrine'a Lyndona czekały przez pewien czas w galerii na kupca, lecz potem zostały odesłane z powodu minimalnego zainteresowania publiczności.

Umarła matka i mieszkańcy małego domku na skraju wsi coraz rzadziej widywali pieniądze.

Działo się tak dlatego, że jedynym sposobem, w jaki ojciec Carmeli mógł ukoić swój ból, było malowanie obrazów przemawiających tylko do jego wyobraźni. Przestał nawet namawiać grubych radców miejskich z oddalonego o pięć mil miasteczka, żeby zamawiali u niego swoje portrety.

Był bardzo przystojny i zwano go we wsi „dżentelmenem w każdym calu”, a pozowanie do jego obrazów uchodziło za objaw dobrego smaku.

Niestety, niewielu mieszkańców Huntingdon było skłonnych wydawać pieniądze na takie zbytki. Zatem zamówień było niewiele i były niezmiernie rzadkie.

Dom zapełnił się obrazami, które ojciec lubił malować dla przyjemności. Często, gdy dzień miał się ku końcowi, spoglądając na puste płótno Carmela pytała ojca, jak mu idzie, i niezmiennie otrzymywała taką samą odpowiedź: nie był zadowolony z otrzymanych efektów i zaczął wszystko od początku.

- Zawsze, gdy widzę słońce nad horyzontem - mówił - myślę o twojej matce.

W efekcie oczekiwał, iż każdy obraz będzie arcydziełem i potrafił malować tę samą scenę wielokrotnie, aż uznał wynik za satysfakcjonujący.

Jedynym sposobem zachowania obrazów, które podobały się Carmeli, było odbieranie ich ojcu, zanim zostały całkowicie zniszczone w procesie ciągłych „poprawek”. Trzymała je w swojej sypialni i oglądała tylko wtedy, gdy była sama.

Kiedy ojciec zmarł zeszłej zimy na zapalenie płuc, którego nabawił się, siedząc na mrozie i malując gwiazdy, zdała sobie sprawę, iż wszystko co posiada to obrazy, których nikt nie chciał, i te kilka funtów, które zdołała uzyskać ze sprzedaży wyposażenia domu.

Dom nie stanowił ich własności i wiedziała, iż nie zdoła go opłacić, nie najmując się do pracy, mimo że czynsz był bardzo niski.

I właśnie wtedy, zatopionej w rozpacz po śmierci ojca, sugestia pani Cooper, że mogłaby pracować u niej, wydała się Carmeli promykiem światła w otaczającej ją ciemności.

Ledwie przeprowadziła się na plebanie i poznała dzieci pastora, zrozumiała, iż jej decyzja była niemalże podpisaniem wyroku na siebie.

Nie miała wówczas żadnego wyboru, a pastor zapewniał jej przynajmniej dach nad głową i jedzenie, za które nie musiała płacić.

Z wyraźnym zażenowaniem pani Cooper zaproponowała Carmeli dziesięć funtów rocznie za pracę, a ona, doszukując się w tym geście oznaki hojności, z wdzięcznością przystała na zaproponowaną stawkę.

Teraz, podobnie jak wiele razy przedtem, myślała, że lepiej byłoby głodować, niż zмагаć się z tymi nieznośnymi dziećmi.

Carmela zawsze uważała, że osoba z jaką taką inteligencją jest zdolna porozumieć się z innymi istotami ludzkimi, bez względu na to, jak prymitywne by one były.

Często rozmawiała z ojcem o tym jak misjonarze podróżujący do obcych krajów zamieszkałych przez dzikie plemiona, zdobywali ich zaufanie, mimo iż częstokroć nie znali nawet ich języka.

Mężczyźni i kobiety powinni umieć porozumiewać się z sobą tak, jak robią to zwierzęta, powiedział kiedyś Peregrine Lyndon.

W związku z tym Carmela była przekonana, że jest na świecie ktoś, kto zrozumie, co jej ojciec próbował powiedzieć przez swoje obrazy: wywodziły się przecież prosto z jego serca i umysłu.

- Myślę, tato - mawiała - że minąłeś się ze swoim czasem. Teraz artyści chcą portretować dokładnie to, co widzą. W przeszłości byli tacy jak Botticelli czy Michał Anioł, którzy malowali z wyobraźnią. I to jest właśnie to, co ty robisz.

- Jestem zaszczycony, że umieszczasz mnie w tak dobrym towarzystwie - powiedział z uśmiechem ojciec - ale masz rację. Chcę malować to, co myślę i czuję, a nie to, co widzą moje oczy. Tak długo jak ty i ja to rozumiemy, nie musimy martwić się o zdanie innych.

- No właśnie - przytaknęła Carmela.

Jednak wyobraźnia nie była w stanie opłacić rzeźnika, piekarza, handlarza warzywami; właściciel domu także nie byłby skłonny przyjąć wymagowanych pieniędzy.

Dziecko przestało płakać i ponownie zasnęło. Carmela delikatnie położyła je w łóżeczku. Chłopiec był grzeczny, ale dziewczyna miała przeczucie, że gdy trochę podrośnie, będzie taki sam jak jego brat i siostra.

Nagle Lucy wrzasnęła.

- Henry je moje jajko! Niech pani mu coś powie! On zje moje jajko!

To była prawda. Zjadłszy już swoje, Henry zabrał się do jajka przeznaczonego dla swojej siostry, cały czas rzucając Carmeli wyzywające spojrzenia.

- Nie martw się, Lucy, możesz zjeść moje jajko.

- Chcę to brązowe! - zażądała stanowczo dziewczynka. - Nienawidzę Henry'ego! Zawsze zabiera moje rzeczy. Nienawidzę go!

Carmela spojrzała na chłopca i doszła do wniosku, że też go nienawidzi.

Przewrócona przez niego miseczka pękła i cała owsianka rozlała się po stole. Pusta skorupka po pierwszym jajku wypadła z podstawki, a żółtko z drugiego rozlało się na obrusie; wszystko przez pośpiech, w jakim Henry spożywał swój posiłek. Ślady żółtka były także widoczne na jego koszuli, tej samej, którą Carmela wczoraj uprała i uprasowała.

Nic nie powiedziała. Po prostu postawiła swoje jajko przed Lucy, zrobiła otwór w skorupce i wsadziła dziewczynce do ręki czystą łyżeczkę.

- Chcę brązowe jajko! Brązowe! - zapiszczała Lucy. - Nie lubię białych jajek!

- Środki smakują dokładnie tak samo - próbowała pocieszyć ją Carmela.

- Kłamiesz! - włączył się do rozmowy Henry.

- Tak, kłamiesz! Kłamiesz! - Lucy uradowała się, znalazłszy sojusznika w walce przeciw wspólnemu wrogowi. Szybko zapomniała o swoim gniewie na brata. - Brązowe mają inny smak niż białe! Chcę brązowe jajko!

Carmela cicho westchnęła i usiadła przy stole. Nalała sobie do filiżanki taniej herbaty o podłym smaku i ukroiła kromkę chleba z czerstwego bochenka. Lucy ciągle wrzeszczała, domagając się brązowego jajka, a potem nagle, najprawdopodobniej wpadając w jeszcze większą złość, położyła jajko przed sobą i z całej siły uderzyła w nie wierzchem dłoni.

Jajko przeleciało przez cały stół i roztrzaskało się o czajniczek. Żółtko rozprysło się na wszystkie strony, nie oszczędzając Carmeli.

Carmela już otwierała usta, by zganić niesforną dziewczuchę, ale po chwili namysłu doszła do wniosku, że to wszystko jest ponad jej siły.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu... W tym samym momencie ktoś otworzył drzwi.

Zaraz usłyszy zrzędlawy głos pani Cooper, domagający się uciszenia dzieci, albo i krzyk samego pastora, którego interwencja zwykle tylko pogarszała sytuację.

Ktoś wszedł do pokoju, lecz milczał. Carmela obróciła się do drzwi.

Zamarła w osłupieniu.

W drzwiach stała dziewczyna - uosobienie piękności; pokój dziecinny wydał się nagle jeszcze brzydszy.

Była ubrana w przybrany kwiatami czepek, muślinową suknię ozdobioną kokardami z purpurowej wstążki. Miała duże, niebieskie oczy i czerwone usta.

- Dzień dobry, Carmelo!

- Felicity!

Carmela poderwała się z za stołu i wytarłszy żółtko o fartuch, podbiegła do drzwi, by ucałować stojącą tam dziewczynę.

Lady Felicity była jej najbliższą przyjaciółką. Rozstawały się tylko wtedy, gdy Felicity wyjeżdżała na krótko do przyjaciół.

- Kiedy wróciłaś? - spytała Carmela. - Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Kobiety rzuciły się sobie w ramiona. Felicity czule pocałowała przyjaciółkę i odpowiedziała:

- Zeszłej nocy. Nie mogłam uwierzyć, gdy mi powiedziano, że zajmujesz się dziećmi pastora.

- Nie wiedziałam, co począć po śmierci papy...

- Nie wiedziałam, że umarł. Carmelo, tak mi przykro...

Carmela milczała, nie mogąc powstrzymać łez cisnących się do oczu.

Wszystko było w porządku, dopóki nie mówiło się o jej ojcu. Najmniejsza wzmianka o nim powodowała nawrót szalonej za nim tęsknoty.

- Wróciłam - zaczęła lady Felicity - i chcę, żebyś u mnie pracowała. Od zaraz!

- Ale... Ale ja przecież pracuję tu...

Felicity spojrzała na stół i na dzieci, które przyglądały się jej z rozdziawionymi buziami.

- Mam dla ciebie coś znacznie lepszego niż zajmowanie się tymi dwiema bestiami. Pamiętam Henry'ego. Zwykł pluć i robić głupie miny w kościele, gdy tylko jego ojciec nie patrzył.

Carmela wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

- Kim jesteś? - spytała Lucy, oburzona, że przestała być już w centrum zainteresowania.

- Kimś, kto zabierze od was miłą i uprzejmą pannę Lyndon - odpowiedziała lady Felicity. - Mam nadzieję, że

wasz ojciec znajdzie kogoś okropnego na jej miejsce; kogoś, kto spuści wam łanie, na które od dawna zasługujecie.

Nie brzmiało to zbyt złowieszczo, ponieważ mówiąc nie przestawała chichotać. Potem wzięła Carmelę za rękę i powiedziała:

- Pakuj się. Powóz już czeka.

- Ale... Ja przecież nie mogę wyjechać ot tak... - nieśmiało zaprotestowała Carmela.

- Ależ oczywiście, że możesz. Pakuj się, a ja w tym czasie wytłumaczę pani Cooper, że jesteś mi bardzo potrzebna i jest absolutnie niezbędne, byś udała się ze mną.

- Będzie wściekła i nigdy więcej mnie nie zatrudni - posmutniała Carmela.

- Nigdy więcej nie będzie miała nawet okazji zaproponować ci pracy. - Felicity uśmiechnęła się. - W drodze wszystko ci wyjaśnię.

Rozejrzała się po pokoju i dodała:

- Pospiesz się. Nie mogę wytrzymać nawet pięciu - minut w takim obskurnym miejscu. Nie mam pojęcia, jak mogłaś to znieść.

- Rzeczywiście, jest tu dosyć podle - przyznała Carmela. - Ale przecież muszę najpierw wymówić, a dopiero potem...

- Zostaw wszystko mnie - uspokoiła ją Felicity. - Po prostu rób, co ci mówię.

- Nie wiem, czy powinnam... Felicity dała jej lekkiego kuksańca.

- Potrzebuję cię i nie możesz mi odmówić. Nie teraz; nie tym razem...

- Nie odmawiam ci - obruszyła się Carmela. - Dobrze wiesz, że chcę z tobą pojechać.

- Zatem spakuj swoje ubrania albo - mniejsza z nimi! Nie będziesz ich potrzebowała. W zamku mam ich dla ciebie całe stosy.

Carmela spojrzała na nią ze zdziwieniem, gdy tymczasem Felicity mówiła dalej;

- Zrób, o co cię proszę. Zabierz tylko te rzeczy, które mają dla ciebie prawdziwą wartość, na przykład obrazy ojca... jak się domyślam.

- Są w piwnicy przybudówki. Tutaj nie było dla nich miejsca.

- Powiem lokajowi, żeby je zabrał i żeby potem przyszedł po twój kufer. Teraz idę porozmawiać z panią Cooper.

Zanim Carmela zdążyła cokolwiek powiedzieć, Felicity odwróciła się i wyszła.

Dzieciaki śledziły każdy jej ruch, aż wreszcie Lucy zapytała:

- Odjeżdżasz z tą panią?

- Mama nie pozwoli ci odejść - zawyrokował Henry, zanim Carmela zdążyła otworzyć usta.

I nagle pod wpływem tego niegrzecznego, debilowego głosu brzydkiego siedmiolatka Carmela podjęła decyzję.

- Tak, wyjeżdżam - powiedziała i wybiegła z pokoju.

Większość swoich rzeczy przez cały czas trzymała w kufrze, ponieważ przydzielono jej tylko jedną chwiejącą się komodę, którą w dodatku musiała dzielić z Lucy.

Pospiesznie spakowała rzeczy, których ostatnio używała, dołożyła do nich komplet obrusów należących niegdyś do jej matki i ściągnęła z łóżka chustę, którą musiała okrywać się na noc z powodu niedostatecznej liczby koców. Właśnie zamykała zamek kufra, gdy w drzwiach pojawił się lokaj ubrany w błyszczącą' liberię ozdobioną srebrnymi guzikami. W rękę trzymał kapelusz.

- Dzień dobry, panno Carmelo - powiedział z uśmiechem.

- Dzień dobry, Ben.

- Lady kazała mi przynieść kufer panienki.

- Tak, to ten - powiedziała wskazując na kufer. - Poradzisz sobie sam?

- Oczywiście!

Wsadził kapelusz na głowę, podniósł skrzynię i z łatwością przeniósł ją przez pokój dziecinny.

Dzieci ciągle siedziały przy stole, ze zdziwieniem śledząc rozwój wypadków.

Carmela włożyła płaszcz należący niegdyś do jej matki i skromny, prosty czepek z czarnymi tasiemkami do zawiązywania pod brodą. Wyglądam jak wróbel przy rajskim ptaku, pomyślała, porównując się do Felicity.

Cały czas bała się reakcji pani Cooper. Schodząc na dół była świadoma tego, że pastorowa ma prawo czuć się obrażona i rozgniewana z powodu jej przedwczesnego wyjazdu.

Carmela zawsze robiła wszystko, o co prosiła ją przyjaciółka. Felicity, mimo iż tylko kilka miesięcy starsza od niej, zdawała się należeć do zupełnie innej generacji.

To ona była inicjatorką wciąż nowych zabaw i zajęć. Podróże i spotkania z wieloma ważnymi osobistościami dodały jej jeszcze pewności siebie. Prawdę mówiąc, od zawsze wydawała się Carmeli całkiem dorosła.

Carmela znalazła się w małym, ciemnym korytarzyku i usłyszała, jak Felicity rozmawia z panią Cooper. " Z sercem w gardle weszła do pokoju, spodziewając się potoku zrzędlivych złorzeczeń poirytowanej pani Cooper.

Jednak, ku jej zdziwieniu, żona pastora się uśmiechała.

- No, no, szczęściara z ciebie - rzekła, zanim Carmela zdołała cokolwiek powiedzieć. - Lady Felicity właśnie mi opowiadała o planach, jakie ma wobec ciebie; niezawodnie będą dla ciebie wielce korzystne.

- Pani Cooper jest bardzo uprzejma i mówi, iż nie będzie przeszkodą w ich realizacji - powiedziała Felicity.

Carmeli wystarczyło jedno spojrzenie na przyjaciółkę, by zauważyć błysk w jej oczach, któremu towarzyszył delikatny, przesłodzony głosik, pojawiający się zwykle wtedy, gdy Felicity kimś manipulowała, chcąc osiągnąć własny cel.

- To... To bardzo... bardzo uprzejme z pani strony - wyjąkała Carmela.

- Będzie mi ciebie brakowało, uwierz mi - powiedziała pani Cooper - ale lady obiecała przysłać mi z zamku dziewczynę do pomocy.

- O tak. Niezwłocznie każę jej przybyć - skinęła głową Felicity. - I jeszcze raz dziękuję pani za jej uprzejmość. Proszę pozdrowić ode mnie pastora. A jako że nie będę mogła uczestniczyć w niedzielnym nabożeństwie, ponieważ udajemy się z Carmela w podróż, może byłaby pani tak łaskawa i złożyła w moim imieniu skromną ofiarę na tacę? - Mówiąc to, Felicity otworzyła śliczną satynową torebkę, która do tej chwili spoczywała przewieszona przez jej ramię, i wyjąwszy sakiewkę odliczyła z niej pięć złotych gwinei prosto na wyciągniętą dłoń pani Cooper.

- To bardzo uprzejme z pani strony - powiedziała z nieukrywanym zadowoleniem pani Cooper. - Bardzo uprzejme.

Przełożyła pieniądze do drugiej dłoni, by pożegnać się z Felicity. Wsiadły do karety i kazały stangretowi ruszyć, jeszcze przez chwilę obserwując panią Cooper machającą do nich z ganku.

Ledwie kareta minęła wąską bramę, Carmela spytała:

- Czy naprawdę mnie oswobodziłaś?

- Jestem pewna, że dłużej byś tam nie wytrzymała - odpowiedziała Felicity. - Powiedz mi, Carmelo, jak to wszystko mogło się zdarzyć w tak' krótkim czasie?

- Papa odszedł pod koniec stycznia - zaczęła dziewczyna - a ja nie mogłam do ciebie napisać, ponieważ nie wiedziałam, gdzie jesteś.

- Byłam we Francji u jednego z przyjaciół babci, potem u drugiego... - wyjaśniła Felicity. - Gdybyś nawet napisała, wątpię, czy list by trafił do mnie.

- Musi ci bardzo brakować babci...

Babka Felicity była owdowiałą hrabiną Galeston. Felicity mieszkała u niej od dziecka.

Hrabina była kobietą wzbudzającą raczej strach niż sympatię, toteż mieszkańcy wsi żyli w ciągłym lęku przed nią. Lubiła jednak rodziców Carmeli i nawet zachęcała jej ojca do malowania, kupując kilka obrazów. A że w najbliższym sąsiedztwie zamku nie było zbyt wiele dzieci w odpowiednim wieku, z którymi pozwolono by spotykać się Felicity, Carmelę zachęcono do coraz częstszych odwiedzin. Oczywiście wszystko to działo się za aprobatą hrabiny.

Gdy tylko Felicity trochę podrosła, zaczęła wyjeżdżać do przyjaciół hrabiny nawet wtedy, gdy jej babka nie czuła się wystarczająco dobrze, by jej towarzyszyć. Nic więc dziwnego, że Carmeli wiedza o świecie była zupełnie inna od tej, którą posiadała Felicity.

Zawsze jednak tak było, że po powrocie Felicity z wojaży przyjaźń dziewcząt na nowo się odradzała i Carmela znów była powierniczką Felicity, i rada wysłuchiwała relacji z jej podróży - nie z zazdrością, lecz z podziwem.

- Miałam powodzenie, wszyscy się mną interesowali! - chwaliła się Felicity po interesującej wizycie, a Carmela wysłuchiwała wszystkiego i wierzyła.

Zupełnie jak za dawnych czasów, pomyślała teraz. Felicity mówiła jej, co zrobić, a ona z radością tego słuchała i z jeszcze większą radością wykonywała.

- Jakie masz teraz plany? - spytała.

Kareta minęła imponującą bramę i wjechała na przeszło milową aleję prowadzącą do zamku.

- Właśnie chcę ci o nich opowiedzieć - odparła Felicity. - I właśnie w związku z nimi potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej pomocy? - zdziwiła się Carmela. Felicity spojrzała jej prosto w oczy.

- Pomożesz mi, Carmelo? Obiecuj, że mi pomożesz! - W głosie Felicity brzmiały tony, których nigdy przedtem Carmela nie słyszała.

- Oczywiście, że tak - zgodziła się natychmiast. - Wiesz, że zrobię wszystko, co zechcesz.

- Byłam pewna, że to powiesz, i dziękuję ci za to. - Felicity uśmiechnęła się. - To, o co mam zamiar cię poprosić, może ci się wydać niedorzeczne albo co najmniej dziwne, ale gdy przyjechałam dzisiaj po ciebie, od początku wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz.

- Czemu miałabyś w to wątpić? - udała obrażoną Carmela. - Po tym, co dla mnie zrobiłaś?

Czekała, zastanawiając się, dlaczego jej przyjaciółka wygląda tak poważnie. Domyślała się, że Felicity zamierza poprosić ją o coś niezwykłego czy też wyjątkowo trudnego.

Felicity patrzyła przed siebie na ciemne kształty zamku na tle jasnego nieba.

Był to unowocześniony zamek, kupiony przez hrabinę w czasach, kiedy szukała locum po zerwaniu więzi z Galeston.

Carmela dobrze знаła tę historię.

Hrabina była prawdziwą pięknoscią, ale i silną indywidualnością. Gdy syn jej został dziedzicem, pokłóciła się z nim i resztą rodziny, a w końcu zdecydowała, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Należała do tego rodzaju osób, które gdy raz coś postanowią, nigdy nie zmieniają zdania. Mimo to rodzina zrazu nie mogła uwierzyć w jej decyzję. Jednak po serii gorzkich kłótni i gwałtownej wymianie listów pomiędzy nią a

resztą rodziny Gale'ów, babka Felicity opuściła Dower House, gdzie zamieszkała, gdy jej syn został dziedzicem.

Zabierając z sobą wszelkie ruchomości, jakie posiadała, hrabina powiedziała rodzinie Gale'ów, że nie ma najmniejszego zamiaru spotykać się z nimi ani teraz, ani w przyszłości.

Trudno było im w to uwierzyć, jako że zabrała z sobą córkę syna. Właśnie to w istocie było kością niezgody pomiędzy nimi. Matka Felicity zmarła przy porodzie, a hrabina niezbyt pochlebnie wyrażała się o sposobie, w jaki wychowywano wnuczkę.

Jej syn dużo większym zainteresowaniem darzył syna i pozwolił matce zająć się wychowaniem Felicity, mając nadzieję, że wcześniej czy później dziecko pomoże na prawić zerwane stosunki.

Hrabina przeprowadziła się do zupełnie innej części Anglii i nie objawiała najmniejszej ochoty na pojednanie.

Syn uporem i zawziętością dorównywał matce, zatem nienawiść przybierała na sile z roku na rok i w końcu wszelkie stosunki pomiędzy nimi zamarły.

Potem hrabina zmarła i kiedy Felicity wyjechała do Francji, by spędzić trochę czasu u przyjaciół babki, Carmela zastanawiała się, czy jej przyjaciółka zwróci się ku rodzinie, której praktycznie nie znała.

Tak nie musiało się stać, ale Carmela była pewna, że Felicity nie zdecyduje się zamieszkać w zamku sama, bez opiekunki - przyzwoitki.

- Zaraz będziemy w domu - oznajmiła Felicity - i wszystko ci opowiem, gdy tylko zostaniemy same.

- Jestem coraz bardziej zaintrygowana twoją tajemniczością. Czy gościsz teraz kogoś na zamku?

- Nie.

Sposób, - w jaki Felicity mówiła, nie wydawał się Carmeli całkiem normalny i dziewczyna gubiła się w domysłach, co Felicity miała jej do powiedzenia i w jakim stopniu dotyczyło to jej.

Ciągle nie mogła uwierzyć, że udało się jej opuścić plebanie, upiorne dzieci i zrzędliwą panią Cooper.

Otoczenie zawsze wywierało na nią głęboki wpływ, a brzydota domu pastora powiązana z prostactwem jej właścicieli i ich dzieci była trudna do zniesienia.

Carmela czuła, że powinna być im wdzięczna za to, co dla niej zrobili, ale trudno było ich polubić. Po prostu nie mogła wydusić z siebie najmniejszej nawet krzty sympatii... Byli to niezbyt mili ludzie.

Proboszczowi brakowało chrześcijańskiego miłosierdzia, a jego żona była nudną, znerwicowaną kobietą, która miała zbyt wiele obowiązków i nie bardzo przepadała za dziećmi, nawet swoimi.

Ciągle uważano ich za przybyszów, mimo że mieszkali we wsi od przeszło sześciu lat. Było to jednak nic wobec faktu, iż poprzedni pastor służył tu ludziom lat czterdzieści.

Carmela odczuwała wielką radość wchodząc do zamku, gdzie wszystko stanowiło odbicie doskonałego smaku jego właścicieli.

Nie chodziło o to, że zasłony uszyto z drogiego brokatu. Dużo ważniejsze było to, iż harmonizowały z obiciem ścian o kojących barwach i obrazami, które na nich wisiały.

Cięte kwiaty wypełniały powietrze swym słodkim zapachem, a uśmiechy powitalne lokajów sprawiły, że Carmela poczuła się, jakby wróciła do własnego domu.

Felicity wręczywszy służącemu płaszcz i ściągawszy czepek, poprowadziła Carmelę do pięknego salonu, który od dawna był ich ulubionym miejscem rozmów.

Stały tu sofy przykryte niebieskimi jak oczy Felicity narzutami, a obrazy wiszące na ścianach przedstawiały kobiety, które zdaniem Carmeli swoją elegancją dorównywały Felicity.

- Czy życzy pani sobie coś do picia? - spytał majordomus.

Felicity spojrzała na Carmelę, która pokręciła przecząco głową.

- Nie. Dziękuję, Bates.

Lokaj zamknął drzwi i przyjaciółki zostały same.

- Na pewno nie jesteś głodna? Nie jestem pewna, czy pani Cooper była łaskawa uraczyć cię nawet najskromniejszym śniadaniem...

- Na samą myśl o nim robi mi się niedobrze! - jęknęła Carmela. - Och, Felicity, zupełnie nie nadaję się na piastunkę. Nie potrafię zajmować się dziećmi, a szczególnie takimi jak te!

- Nie dziwi mnie to. Zastanawiam się tylko, skąd przyszło ci do głowy, że będzie ci tam dobrze?

- Nie miałam wyboru.

- Powinnaś była wiedzieć, że tu zawsze jesteś mile widziana. I nie udawaj, że jesteś zbyt dumna, bo w to nie uwierzę.

Wybuchnęły śmiechem na wspomnienie dumy, gdyż obie znały stary dowcip o dumnych ludziach, który zwykła opowiadać hrabina:

„Gdy mówią o miłosierdziu, zawsze mają na myśli dawanie pieniędzy. Dużo trudniej jest jednak samemu poświęcić się innym i dla innych. To jest prawdziwa dobroczynność”.

Dziewczęta uważały ten pogląd za całkiem zabawny i pewnego razu Felicity przyjechawszy do zamku uraczyła swą babkę następującą historią:

- Babciu, dzisiejszego popołudnia byłam bardzo miłosierna. Przez dziesięć minut rozmawiałam z tą okropną nudziarą, panną Dobson. Jestem teraz pewna, że przesunęłam się o kilka szczebli w górę na drabinie do nieba!

- Jestem dumna - podjęła temat Carmela - ale jeżeli chcesz być miłosierna dla mnie, to wiedz, że właśnie tego pragnę.

- Doskonale, moja droga - rzekła Felicity. - Teraz posłuchaj mnie.

- Słucham cię i mam niejasne przeczucie, że planujesz jakąś psotę.

- Możesz tak to nazwać - zgodziła się Felicity. - - Wychodzę za mąż.

Carmelę zamurowało.

- Za mąż? Ach, Felicity... To cudownie... Ale za kogo?

- Za Jimmy'ego. Za kogóż by innego?

- Za Jimmy'ego Salwicka? Nie wiedziałam, że jego żona umarła.

- Jeszcze nie!

Carmela patrzyła na przyjaciółkę oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia,

- Obawiam się, że nie... nie rozumiem.

- Ona jest umierająca, ale jeszcze nie umarła. Wyjeżdżam z Jimmym do Francji, żeby razem z nim doczekać tam chwili, kiedy będziemy mogli się pobrać.

- Ależ, Felicity!... Nie możesz przecież tego zrobić! Pomyśl o swojej reputacji!

- Nie dyskutuj. Muszę to zrobić, a ty, Carmelo, musisz mi pomóc.

Carmela wyglądała na zmartwioną.

Wiedziała, że Felicity od przeszło roku była zakochana w bliskim sąsiedzie, Jimmym Salwicku.

Był to atrakcyjny, czarujący młody mężczyzna, który odziedziczył po przodkach olbrzymi dom w opłakanym stanie oraz posiadłość, na której utrzymanie nie mógł zdobyć funduszy.

Ponieważ Felicity wiedziała, że pieniądze babci przypadną jej w spadku - była wraz z Jimmym przygotowana na czekanie. Gdyby zwrócili się do hrabiny ujawniając jej zamiar ślubu w przyszłości, było pewne, iż robiłaby mnóstwo trudności, gdyż nie uważała Jimmy'ego Salwicka, mimo całego jego uroku osobistego, za właściwego kandydata na męża dla swojej wnuczki.

Hrabina zawsze obracała się w wyższych sferach towarzyskich, a w młodości była damą do towarzystwa królowej. W związku z tym upierała się, by Felicity wyszła za mąż za przedstawiciela jakiegoś wielkiego rodu. i nawet ułożyła specjalną listę najbardziej odpowiednich diuków i markizów, których uważała za godnych ręki jej wnuczki.

- Nie ma najmniejszego sensu dyskutować z babcią o Jimmym - mawiała Felicity. - Wiesz, jaka jest stanowcza, gdy już podejmie decyzję. Gdybym tylko spróbowała nalegać na małżeństwo z kimś innym, ona by tak pokierowała biegiem wydarzeń, że nie moglibyśmy się nawet spotykać.

- Rozumiem - przytakiwała Carmela. - Co się jednak stanie, gdy ona znajdzie mężczyznę, którego uzna za idealnego kandydata na twojego męża?

Na szczęście nigdy nie doszło do tego. Hrabina poważnie podupała na zdrowiu i Felicity wysłano do krewnych babki, z których wielu mieszkało we Francji.

Gdy tylko skończyła się wojna i sytuacja we Francji zaczęła się stabilizować, Felicity wyprawiono do ogromnego zamku nad Loarą, zamieszkanego przez arystokratów ocalałych z Rewolucji; nie dosięgły ich także zmiany społeczne wprowadzone przez Napoleona Bonaparte.

Koneksje rodzinne hrabiny były wszakże nie tylko francuskie. Felicity gościła także u księcia w Northumberland, była w Kornwalii, a także w dalekim Edynburgu.

Mimo iż przywoziła z sobą mnóstwo historii o nowo poznanych ludziach i zalecających się do niej mężczyznom, zawsze zwierzała się Carmeli, że jedynym mężczyzną znaczącym cokolwiek w jej życiu był Jimmy Salwick.

Gdy Jimmy był bardzo młody, jego rodzice ożenili go z kobietą, która powoli popadała w szaleństwo, aż wreszcie została umieszczona w prywatnym domu dla obłąkanych.

Lord Salwick był ofiarą okrutnego losu: nie było innej możliwości uwolnienia się od żony, jak tylko jej śmierć.

To, że oddał swe serce dziewczynie z sąsiedztwa, było nieuniknione, tym bardziej że ona konsekwentnie o to zabiegała.

Nie było nic zaskakującego w tym, że kochał Felicity. Gdy byli razem, miłość sprawiała, iż Felicity lśniła jakimś tajemnym blaskiem, któremu nie potrafiłby się oprzeć żaden mężczyzna.

Jednak pomysł, by uciekać z nim, był dla Carmeli niejasny.

- Nie rozumiem tylko jednej rzeczy - powiedziała. - Dlaczego nie możesz poczekać? Skoro żona Jimmy'ego umiera, a ty już tak długo czekałaś, kilka dodatkowych miesięcy czy nawet rok nie powinny mieć żadnego znaczenia.

- Wiedziałam, że to powiesz - odrzekła Felicity - ale wszystko jest dużo bardziej skomplikowane.

- Jak to?

- Waśnie teraz, gdy wróciłam do Londynu, dowiedziałam się, że babcia pozostawiła mi w spadku olbrzymią fortunę.

- Olbrzymią fortunę? - powtórzyła Carmela.

- Jest gigantyczna, naprawdę olbrzymia. Nie miałam najmniejszego pojęcia, że babcia była tak bogata.

Carmela milczała. Dopiero po dłuższej chwili Felicity podjęła wątek.

- Jak wiesz, ciągle kłóciła się z papą i resztą rodziny. Nazywała ich zgrają nierobów chcących ją wykorzystać; zawsze oczekiwali, że ona będzie za nich płacić. To ją irytowało.

- Wiedziałam, że trzeba być bogatym, żeby pozwolić sobie na mieszkanie tutaj, w tym zamku - powiedziała wolno Carmela.

- Oczywiście: bogatym, ale w zwykłym tego słowa znaczeniu - zgodziła się Felicity. - Ale babcia posiadała fortunę tak olbrzymią, że aż niewyobrażalną. Trzymała to w tajemnicy.

- Pewnie nie chciała, by twój ojciec dowiedział się o jej istnieniu.

- Teraz wszystko jest już jasne, ale, niestety, zaczęło to komplikować moje sprawy.

- Jak to?

- Natychmiast po rozmowie z doradcą prawnym opuściłam Londyn i przyjechałam tutaj - wyjaśniła Felicity.

Carmela wyglądała na zdziwioną. Jej przyjaciółka ciągnęła:

- Wiem, że muszę wyjechać z Jimmym, zanim dojdzie do niego wieść o mojej fortunie i zanim Gale'owie będą próbowali położyć na niej swoje łapy.

Carmela sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Obawiam się, że... że nie rozumiem.

- To proste. Po pierwsze, jeżeli Jimmy dowie się, jak jestem bogata - nie ożeni się ze mną.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Duma - odparła krótko Felicity. - Jest na to zbyt dumny, a poza tym wszyscy zaczęliby nazywać go łowcą fortun. W konsekwencji zostawiłby mnie, a to złamałoby mi serce.

Argumentacja Felicity przemawiała do Carmeli.

James Salwick był dumnym człowiekiem. Nie był zachwycony, gdy ktoś wspominał w rozmowie jego nie najlepszą sytuację finansową. Wstydział się, że nie może wyremontować domu i zarządzać posiadłością w należyty sposób.

Ponadto był przewrażliwiony na punkcie tragedii swojej żony. Carmela wiedziała, iż na początku znajomości z Felicity James próbował zabić rodzące się uczucie, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, jak niewiele mógł jej zaoferować.

To za sprawą Felicity zaczęli częściej się spotykać, gdyż to ona zakochała się w nim na jednym z polowań.

Carmela doskonale pamiętała te wszystkie niby przypadkowe spotkania, wszystkie preteksty do składania wizyt, różne sposoby zwabiania Jamesa na zamek.

Gdy wyznał jej wreszcie swą miłość, Felicity panicznie zaczęła się bać, że pewnego dnia może go stracić.

- On mnie kocha, o tak, kocha mnie! - powtarzała. - Ale mówi, że nigdy nie będzie mi przeszkadzał w poślubieniu innego mężczyzny. Po prostu zniknie i nigdy więcej go nie zobaczę,

Felicity cicho zatkęła.

- Nie mogę go stracić! Wszystko, tylko nie to!

Carmela zrozumiała, na czym polegało niebezpieczeństwo. James Salwick nie mógł dowiedzieć się o bogactwie jej przyjaciółki. Zaniepokoiła się,

- Czy on pojedzie z tobą? - spytała.

- Tak, gdy mu powiem, co wydarzyło się później.

- Później?

- Pamiętasz, że po rozmowie z doradcą prawnym od razu przyjechałam tutaj? Zgadnij tylko, co czekało na mnie na zamku?

- Nie mam pojęcia.

- List od kuzyna Selwyna, nowego lorda Galeston.

- Czemuż miałby on pisać do ciebie?

Carmela wiedziała, że brat Felicity został zabity tuż przed bitwą pod Waterloo. W związku z tym jej ojciec, który zmarł rok temu, nie miał żadnego następcy. A to oznaczało, że tytuł przeszedł na syna jego brata, który ożenił się młodo.

Zatem obecny lord Galeston, kuzyn Felicity, był już dojrzałym mężczyzną, nie mającym do chwili śmierci ojca Felicity żadnych widoków na odziedziczenie dóbr.

Carmela z trudnością sobie to przypominała. Felicity nigdy nie mówiła zbyt wiele o swoich krewnych, jako że nigdy ich nie spotkała.

Nawet o śmierci swojego ojca dowiedziała się z gazet.

- Czemu miałoby mnie to obchodzić? - spytała, gdy Carmela pokazała jej nekrolog. - Babcia nienawidziła go. Często opowiadała mi, jak mnie nie lubił, ponieważ moje urodziny spowodowały śmierć mamy.

- Jednak to trochę nie w porządku - nienawidzić własnej rodziny.

- Nic na to nie poradzę. Moja niania zwykła mówić, że wybieramy sobie przyjaciół, ale rodziny nie zmienimy w żaden sposób.

Carmela pomyślała, że skoro Felicity została sama na świecie, naturalnym biegiem rzeczy jej rodzina zwróci się ku niej, chociaż po tylu latach braku jakichkolwiek kontaktów mogło się to wydawać niewczesne.

- Co lord miał ci do powiedzenia?

Felicity zacisnęła usta i dopiero po chwili zaczęła mówić:

- Poinformował mnie, że skoro babcia zmarła, on przejmuje obowiązki opiekuna. I tak, jakby rozkazywał swoim żołnierzom, kazał mi natychmiast przyjechać do Galeston, ponieważ ma plany co do mojej przyszłości.

Carmela jęknęła.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- A jednak! On tak napisał! Zresztą sama zobaczysz list...
Jeżeli myśli, że mam zamiar go usłuchać, to bardzo się myli.

- Ale... ale skoro on jest twoim opiekunem?

- Twierdzi, że jest moim opiekunem, bo dowiedział się o pieniądzach, które zostawiła mi babcia. - Felicity wzięła głębszy oddech. - Nie jestem głupia. Gdyby to była mała sumka, za którą można ledwo związać koniec z końcem, kuzyn Selwyn na pewno by się mną nie zainteresował. Jestem pewna, że nie obchodziłoby go, czy żyję, czy już jestem martwa. Ale teraz, gdy zostałam dziedziczką, sytuacja się zmieniła!

- Jesteś pewna, że chodzi mu tylko o pieniądze? - spytała Carmela.

Nienawidziła tej zawziętości w głosie Felicity, tego spojrzenia, które mogło zabić. W jakiś sposób szpeciło to przyjaciółkę.

- Babcia mówiła, że to żadne pieniądze bestie, i miała rację. Jestem pewna, że teraz, dowiedziawszy się o moich milionach, kuzyn Selwyn będzie chciał położyć na nich swe brudne łapska.

- Och, Felicity. Chyba posuwasz się za daleko! - zaprotestowała Carmela.

- Czemu go bronisz? - wykrzyknęła Felicity. - Papa umarł całe dziesięć miesięcy temu, ale dopiero teraz lord pisze do mnie i każe przyjeżdżać do Galeston. Prędzej umrę, niż to zrobię!

- Chyba nie mówisz tego poważnie?... Felicity wybuchnęła śmiechem.

- Nie, oczywiście, że nie. Zamierzam jeszcze trochę pożyć i szybko wyjść za Jimmy'ego, zanim dowie się o moim majątku. Gdy będę już jego żoną, to ani on, ani lord nic na to nie poradzą.

- To prawda - zgodziła się Carmela. - Ale nie możesz wyjść za Jimmy'ego, dopóki... nie umrze jego żona.

- Ona umiera! Mówiłam ci już! Jimmy otrzymał list: lekarz opiekujący się jego żoną pisze, że ona ma nowotwór mózgu. Pytałam o to wiele osób i wszyscy mi powiedzieli, że z rakiem mózgu nie żyje się zbyt długo.

- Nie potrafię udawać, że jest mi przykro - powiedziała Carmela. - Nie spiesz się jednak. Dobrze się zastanów, zanim zrobisz coś... głupiego.

- Bądź spokojna. Nie ma żadnego ryzyka.

- A co zrobisz, gdy lord cię odnajdzie i sprowadzi siłą do Galeston?

- Właśnie tego argumentu zamierzam użyć wobec Jimmy'ego, gdy go poproszę, by zabrał mnie z sobą. Pokażę mu list od kuzyna Selwyna. Wtedy będzie wiedział, że to nie przelewki.

Przerwała na chwilę.

- Będzie się domyślał, iż w zachowaniu kuzyna jest jakiś ukryty motyw; ale nie powiem mu, że to pieniądze. Przypomnę tylko, że wywodzę się z rodziny Gale'ów, co się z tym wiąże, kuzyn chce objąć mnie swą opieką.

- Sądzisz, że Jimmy ci uwierzy?

- Uwierzy, bo będzie chciał w to uwierzyć. Obie dobrze wiemy, że mnie kocha...

- Wiem, słonko. On kocha ciebie, a ty kochasz jego. Jednak to nie jest dobry pomysł, byście mieszkali razem nie będąc mężem i żoną.

Carmela nie chciała robić przyjaciółce przykrości, ale czuła, że musi podzielić się z nią swymi myślami.

Felicity zobaczyła wyraz wahania na jej twarzy i krótko się zaśmiała.

- Wiem, o czym myślisz, Carmelo. Ale chyba nie potrzebujesz się martwić o mnie. Jimmy jest tak opiekuńczy,

że jestem pewna, iż przed naszym ślubem nie uczyni niczego, co byś uznała za nieodpowiednie.

Carmela słuchała z uwagą.

- Wiem też, co zrobić potem, na wypadek gdyby kuzyn Selwyn pragnął unieważnić małżeństwo ze względu na mój młody wiek: zajdę w ciążę!

Carmela jęknęła. Felicity wyciągnęła rękę, by ją objąć.

- Nie martw się, najdroższa. Dobrze wiem, co robię. Jimmy jest dla mnie wszystkim i moje szczęście zależy tylko od tego, czy będziemy razem. Dlatego musisz mi pomóc.

- Ale ja... Nie wiem, co miałabym zrobić...

- To całkiem proste. Pojedziesz zamiast mnie do Galeston i zostaniesz tam aż do mojego ślubu z Jimmym.

Rozdział 2

Nie mogę tego zrobić. To po prostu niemożliwe! - powtarzała Carmela.

Czuła jednak, że jej opór słabnie i wkrótce ulegnie Felicity. Zawsze tak było...

Gdy Felicity podjęła już decyzję, nikt nie był w stanie wyperswadować jej, by czegoś nie robiła. Tak bardzo wierzyła w realizację swoich planów, że jej entuzjazm udzielał się także innym i rzadko mówiono jej „nie”.

- Ale oni będą wiedzieli, że nie jestem tobą - protestowała Carmela.

- Niby skąd? - zdziwiła się Felicity. - Żaden z moich krewniaków nie widział mnie od chwili, gdy miałam pięć lat. Aż do teraz nikt się mną nie interesował, dobrze o tym wiesz.

Zawiesiła głos, by po chwili gorzko dodać:

- Po śmierci babci nie dostałam od nich żadnego listu. Ani od kuzynów, ani od żadnej z ciotek... Tylko kuzyn Selwyn napisał do mnie.

Ciągnęła pogardliwym tonem: - To oczywiste, że chodzi mu tylko o moje pieniądze. Dowiedziałam się od mojego doradcy, że Selwyn jest jedynym członkiem rodziny, który wiedział o majątku babci.

- Jak twoja babcia mogła utrzymać to w tajemnicy? - spytała Carmela.

- Najwidoczniej spore sumy były zainwestowane na Jamajce, co połączone ze zwiększonym popytem na cukier w ostatnich latach zaprocentowało niewyobrażalnymi zyskami. Prawnik powiedział mi, że jej inwestycje w Anglii także okazały się bardzo dochodowe. Musiało tak być, skoro spadek po babci jest tak olbrzymi.

Carmela milczała. Po chwili Felicity westchnęła.

- To nie tylko szczęśliwy los wygrany na loterii życia, to także ogromna odpowiedzialność. Jestem świadoma tego, że

Jimmy'emu nie spodoba się moje bogactwo. Nigdy też się nie dowiem, czy ludzie lubią mnie za to, jaka jestem, czy za to, co posiadam.

- Ludzie zawsze będą cię kochali, ponieważ ty to ty - oburzyła się Carmela.

Felicity uśmiechnęła się.

- Właśnie to pragnęłam usłyszeć - powiedziała. - Nie chcę stać się taka, jak babcia, która nienawidziła wszystkich Gale'ów tylko dlatego, że sądziła, iż pragną jej pieniędzy.

- Nie pozwól, by pieniądze zmieniły twoje życie; żeby cię zepsuły... Rozumiem jednak, że się martwisz o to, jak Jimmy zareaguje na wiadomość o twojej fortunie. Mieć tak dużo i musieć to ukrywać...

- Jeżeli to rozumiesz, to mi pomożesz.

- Ale przecież nikt nie uwierzy, że jestem tobą - zaprotestowała ponownie Carmela.

- Czemu nie? - przekonywała ją Felicity. - Jesteś tak ładna, jak ja, a gdy ubierzesz się w moje suknie, będziemy tak podobne, że ludzie będą brali nas za siostry.

Było w tym stwierdzeniu wiele prawdy, jako że obie dziewczyny miały jasne włosy, niebieskie oczy i śliczne różowe policzki, stanowiące przedmiot podziwu mężczyzn i zazdrości kobiet.

Jednak Felicity miała szyk, ten rodzaj elegancji, której nabiera się poprzez częste obcowanie z ludźmi ze sfer wyższych, podczas gdy Carmela była prostą, prowincjonalną dziewczyną.

Felicity krytycznie przyjrzała się przyjaciółce i wzięła ją za rękę.

- Chodź ze mną. Idziemy na górę - oznajmiła.

- Po co?

- Będiesz wyglądała dokładnie tak samo, jak ja - wyjaśniła Felicity. - Najpierw zajmijmy się twoimi włosami.

Poza tym będziesz nosiła te same suknie, w które ubierałam się ja po śmierci babci.

Carmela od śmierci ojca nie mogła pozwolić sobie na żadne nowe suknie. Zmieniała tylko tasiemki czepka i przepasywała się czarną szarfą.

Idąc ramię w ramię z Felicity była świadoma tego, jak nędznie musi wyglądać jej suknia w porównaniu ze strojem przyjaciółki.

Poza tym, od chwili gdy opuściła plebanię, nie przebrała się i na jej fartuszkach, oprócz kilku plam, były także ślady jajka, które Lucy jadła na śniadanie.

Po szerokich schodach podążyły do ślicznego pokoju, który Felicity wybrała na swoją sypialnię.

Na podłodze stało kilka kufrów, jeszcze nie rozpakowanych. W pomieszczeniu nie było służącej.

- Jako że jutro wyjeżdżam - Felicity uprzedziła pytanie Carmeli - nie kazałam nic rozpakowywać. Ty zabierzesz to ze sobą. W środku są wszystkie moje ostatnie stroje, czarne albo ciemnofioletowe.

- A ty co będziesz nosiła? - z lekkim uśmiechem spytała Carmela.

- Każę Jimmy'emu zabrać się do Paryża i ubrać w zupełnie nowe rzeczy.

- Paryż? Czy to aby najmądrzejszy pomysł?

- Tak się złożyło, że wszyscy francuscy przyjaciele babci mieszkają w innych częściach Francji, jest więc mało prawdopodobne, abym spotkała ich w Paryżu. Gdyby to się zdarzyło, przedstawię Jimmy'ego jako mojego męża. Nie ma powodu sądzić, że im przyjdą do głowy jakiegokolwiek podejrzenia.

- Sprawiasz wrażenie bardzo pewnej siebie. Skąd wiesz, że Jimmy przystanie na ten plan?

Zanim Felicity odpowiedziała, Carmela zauważyła w jej oczach cień niepokoju.

- Jeżeli kocha mnie tak, jak mi to mówi, nie będzie chciał, bym pojechała do Galeston i została zmuszona do małżeństwa z kimś wybranym dla mnie przez kuzyna Selwyna.

- Jesteś pewna, że kuzyn ma takie plany?

- Absolutnie! Założę się, że upatrzyli już jakiegoś spokrewnionego z nami kawalera, tylko po to, by pieniądze zostały w rodzinie.

Carmela nie kontynuowała rozmowy; czuła, że nie ma już nic do dodania. Nie mogła jednak uwierzyć w to, że Gale'owie są aż tak chytry i przebiegli, jak przedstawiła ich Felicity.

Zdawała sobie sprawę z zakresu władzy, jaką opiekun może mieć nad młodą dziewczyną, która nie ukończyła jeszcze dwudziestego pierwszego roku życia.

Jeżeli wola lorda będzie wydać Felicity za męża, z łatwością zamiar przeprowadzi i nic nie uchroni od tego jej przyjaciółki.

Ponieważ rodzice Carmeli byli bardzo szczęśliwą parą, automatycznie zakładała, że ona i Felicity też kiedyś będą szczęśliwe. Nigdy nie wątpiła, że Jimmy jest najodpowiedniejszym kandydatem na męża dla jej przyjaciółki.

- Ciągle wydaje mi się, że to, co robisz, nie jest... dobre - powiedziała cicho Carmela, mając jednak świadomość, że Felicity jej nie słucha.

Otworzyły wieko kufra, który właśnie przyniesiono do pokoju.

- Pamiętam, co służące zapakowały do tego kufra. Myślę, że te ubrania będą dla ciebie najodpowiedniejsze.

- Widzę, że nie brałaś pod uwagę możliwości mojej odmowy - zauważyła cierpko Carmela.

- Jak mogłabyś odmówić, skoro sprawa ma dla mnie tak ogromne znaczenie? Gdyby to chodziło o ciebie, ja bym cię ratowała na wszelkie możliwe sposoby.

- Tak jak raz już to zrobiłaś - zgodziła się z uśmiechem Carmela.

- Ach tak, te dzieci!... Wiedz jednak, że jakkolwiek straszny może się okazać kuzyn Selwyn, na pewno nie będzie gorszy od Henry'ego Coopera.

Carmela wybuchnęła śmiechem. Po chwili jednak spoważniała.

- Czuję przerażenie na samą myśl o wyjeździe do Galeston. W każdej chwili mogę przecież zostać zdemaskowana.

- To nie potrwa długo - uspokoiła ją Felicity. - Jak tylko wyjdę za Jimmy'ego, będziesz mogła wyjechać z Galeston.

- Co zrobię potem?

- Przyjedziesz do domu Jimmy'ego i poczekasz, aż wrócimy z Francji. Wtedy, moja droga, porozmawiamy o twojej przyszłości, i wiedz, że czeka cię szczęśliwe życie w dostatku...

- Wiesz, że nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy - zaperzyła się Carmela.

- Powinnaś dostać klapsa za to, co powiedziałaś - zdenerwowała się Felicity. - Jeżeli ty i Jimmy macie zamiar mówić o moich pieniądzach tak, jakby były zarażone trędem, nie pozostanie mi nic innego, jak wpakować je do worka i wrzucić do morza!

Carmeli chciało się śmiać, lecz mimo to ciągnęła poważnym tonem:

- Znajdę jakąś pracę i zarobię na uczciwe życie...

- Dajże spokój - zirytowała się Felicity. - Wyjdiesz za mąż, ot co! Znajdziemy ci uroczonego męża, bardzo podobnego do Jimmy'ego, i będziecie żyli długo i szczęśliwie.

- Nie sądzę, żeby... - Carmela urwała w pół zdania, gdyż Felicity poczęła wyciągać suknie z kufra.

Nigdy nawet nie przypuszczała, że suknie w różnych odcieniach fioletu mogą być tak piękne.

Wśród nich znajdowała się biała suknia z fioletowym haftem, a także suknia wieczorowa, która lśniła niczym ametysty i diamenty.

- Czy naprawdę chciałaś je nosić? - spytała Carmela.

- Oczywiście! - odparła Felicity. - Prawdę mówiąc, znudziły mnie już te kolory. Brakuje mi babci, naprawdę strasznie za nią tęsknię, ale wiesz, co ona o tym sądziła: ludzie, którzy chodzą w żałobie za długo, stają się nudni. Jeżeli jest się chrześcijaninem, powinno się wierzyć, że umarli ciągle żyją i są w niebie.

- To samo mówiła mama - dodała Carmela. - Ale mnie po prostu nie było stać, by kupić szaty żałobne po śmierci papy.

- W takim razie możesz nosić te rzeczy przez miesiąc lub dwa, a jeżeli do tego czasu żona Jimmy'ego nie umrze, przyślę ci z Paryża kilka sukni o żywszych barwach.

- Czy nie będzie to wyglądało nieco dziwacznie? - zaniepokoiła się Carmela.

- Z tymi pieniędzmi, jakie masz mieć, możesz być ubrana od stóp do głów w złoto i diamenty!

- Właśnie tak będę się czuła, nosząc te suknie...

- Pospiesz się zatem i przymierz je - rzuciła Felicity. - Ja tymczasem zastanowię się nad twoją fryzurą.

Godzinę później Carmela z niedowierzaniem gapiła się na swoje odbicie w lustrze.

Służąca Felicity, Martha, uczesała jej włosy dokładnie w ten sam sposób, jak robiła to swojej pani, potem nieco przypudrowała jej zgrabny nosek i poszminkowała urocze usteczka. Od tej chwili przyjaciółki mogły niemal uchodzić za bliźniaczki.

Martha, pozostająca na służbie u Felicity od lat, była jedyną osobą dopuszczoną do sekretnego planu dziewcząt.

- Mniejsza o to, czy pochwalam to, co robi jaśnie panienska - zwierzyła się Martha Carmeli - ale gdy ona coś sobie zaplanuje, nie ma siły, która mogłaby ją od tego odwieść.

- To prawda - zgodziła się Carmela. - Powiedz mi szczerze, Martho, czy sądzisz, że ktokolwiek uwierzy choć na chwilę, że jestem lady Felicity?

- Niech panienska poczeka, aż skończę - powiedziała Martha, a Carmela musiała przyznać, że po staraniach Marthy nie była już zbyt podobna do siebie samej.

- Uważaj, co mówisz wśród służby, Martho - ostrzegła ją Felicity. - Niech wiedzą tylko to, że jutro wyjeżdżamy.

- To już wiedzą, a nie pytali mnie o nic więcej.

- To dobrze.

Martha wyszła po coś do sąsiedniego pokoju. Przyjaciółki zostały same.

- Jak możesz być pewna czegokolwiek, dopóki Jimmy się nie zgodzi na twój plan?

- Zgodzi się - zapewniła ją Felicity. - Za chwilę powinien tu być.

- Czy mam zostawić was samych?

- Gdybyś była tak miła. Zamierzam pokazać mu list od kuzyna Selwyna. Wiem, że zapoznawszy się z nim będzie musiał się zgodzić.

Carmela zawahała się. Potem powiedziała:

- Nie sądzisz, kochanie, że byłoby uczciwiej wyjawić mu całą prawdę? Co będzie, gdy już po ślubie odkryje, iż nie byłaś z nim szczerą i odniesie wrażenie, że nie może więcej ci ufać?

Z twarzy Felicity wyczytała, że jej przyjaciółka myślała już o tym i miała gotową odpowiedź.

- Muszę podjąć to ryzyko - powiedziała Felicity. - Mam jednak przecucie, że jak już się pobierzemy, nic nie będzie miało znaczenia, oprócz faktu, że jesteśmy razem.

To była prawda.

Wystarczyło spojrzeć na lorda Salwicka patrzącego na Felicity, by przekonać się, że kocha ją całym sercem. Na pewno zrobi wszystko, żeby zapewnić jej szczęście jako swojej żonie.

Lord przybył przed lunchem i Felicity nie miała czasu zrelacjonować mu przebiegu wydarzeń. Zjedli więc skromny, ale wyśmienity posiłek przygotowany przez kucharza, który był na zamku już od dziesięciu lat; gotował uprzednio dla hrabiny.

Lord Salwick był najwyraźniej tak uszczęśliwiony spotkaniem z Felicity, że nie mógł spuścić z niej oczu, i nawet wtedy, gdy próbowali porozmawiać poważnie o tym, co robili podczas rozłąki, przerywali w pół zdania, patrząc sobie w przepęlnione miłością oczy.

Carmelę ubawiło spojrzenie lorda, gdy weszła do salonu, a on jej nie rozpoznał.

Zrazu zdeorientowany, dopiero po chwili wykrzyknął:

- Zmieniłaś się, Carmelo! Przez chwilę myślałem, że jesteś jedną z londyńskich przyjaciółek Felicity.

- Nie, to ciągle ja - odparła Carmela. - Szaty nie zdobią człowieka, ale czasami go zmieniają...

- Och, masz nową suknię - zauważył lord Salwick - i czesziesz się inaczej.

- Tak samo, jak ja - dodała Felicity. - Wszystko ci opowiem zaraz po lunchu, najdroższy.

Ledwie Felicity zaczęła mówić, lord Salwick zapomniał o Carmeli, skupiając uwagę wyłącznie na ukochanej, która zdawała się wypełniać cały jego świat.

Po posiłku Carmela poszła na górę.

- Poślę służącą po ciebie natychmiast, gdy uda mi się przekonać Jimmy'ego do mojego planu - powiedziała Felicity jeszcze przed przyjazdem ukochanego.

- Uważaj, by za dużo nie kłamać!

- Oczywiście - zgodziła się Felicity i przyjaciółki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Teraz gdy Carmela znalazła się w sypialni Felicity i spojrzała na wszystkie kufry, w których było więcej ubrań, niż ona sama miała przez całe życie, zaczęła na nowo zastanawiać się, czy postępuje słusznie.

Wyłumaczyła sobie jednak, że jedyną rzeczą, jaka naprawdę się liczy, jest szczęście przyjaciółki, którą szczerze kochała. Nie powinnam tak wiele myśleć o sobie, pomyślała.

Jednak myśl o wyjeździe do Galeston i zamieszkaniu z obcymi ludźmi napawała ją takim samym przerażeniem, jak groźba powrotu na plebanię i codziennego stawiania czoła niesfornym dzieciom.

Muszę być odważna i śmiała, przekonywała siebie, wiedząc wszakże doskonale, iż jest zupełnie pozbawiona tych przymiotów. Czuła się tak bezradna, jak po śmierci ojca.

Co by się stało, gdyby zawiodła Felicity? Co się stanie, gdy ktoś z rodziny Felicity zdemaskuje ją jako oszustkę?

Przed oczyma Carmeli jawiły się liczne wizje różnorodnych katastrof, które mogą się jej przydarzyć. A że uprzednio wiodła ciche, nudne życie, nie była pewna, czy zdoła wcielić się w Felicity, dla której bale, przyjęcia i podróże zagraniczne były chlebem powszednim.

Może Gale'owie nie wiedzą o tym, pocieszała się. Miała jednak niejasne przeczucie, że zawsze znajdą się jakieś śledzące ją oczy i zawsze skore do plotkowania języki.

Niespokojna i podenerwowana podeszła do okna, rzucając po drodze przelotne spojrzenie w lustro.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że to jej odbicie. Uświadomiła sobie, że bez względu na jej wewnętrzne zahamowania i lęki, zewnętrznie była przygotowana do odegrania swojej roli.

Nie byłaby istotą ludzką, gdyby nie odczuwała radości z noszenia sukni piękniejszej od wszystkiego, co miała przedtem.

Jestem pewna, że gdyby papa widział mnie teraz, natychmiast by mnie namalował, pomyślała.

Po chwili doszła jednak do wniosku, że ojciec chętniej widziałby ją jako nimfę: w sukni przezroczystej jak mgła unosząca się nad wodą, czy też wyglądającej jak gwiazdziste niebo, gdyby malował ją w nocy.

Mimo wszystko podobają mi się te suknie, pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Nigdy nawet nie przypuszczała, że będzie nosiła stroje wyglądające tak, jakby przed chwilą opuściły jej sny.

Zapukano do drzwi i służąca poprosiła ją na dół.

Wchodząc do salonu, w którym czekała Felicity z lordem Salwickiem, Carmela nerwowo przełknęła ślinę; niepokoiła się, czy wszystko poszło po myśli przyjaciółki.

Felicity i Jimmy wyglądali jednak na bardzo zadowolonych. Lord wstał; Felicity nie przestawała pieścić jego dłoni.

- Przyłącz się do nas, najdroższa Carmelo - rzekła. - Powiedziałam Jimmy'emu, jak wielką przysługę obiecałaś mi oddać, i jesteśmy ci oboje niezmiernie wdzięczni.

- O, tak - przytaknął Jimmy. - Ale czy nie prosimy cię o zbyt wiele?

- Chcę tylko... pomóc - wyszeptała Carmela.

- Pomożesz nam, zatrzymując się u Gale'ów do czasu naszego ślubu.

- Mam nadzieję, że umiejętnie odegram moją rolę...

- Widzę, że wyglądasz dokładnie jak Felicity - zaczął lord Salwick - tylko... - Przerwał, zdając sobie sprawę, że to, co chciał powiedzieć, zabrzmiałoby niegrzecznie i mogłoby zranić Carmelę.

- Tylko jesteś dużo ładniejsza ode mnie. - Felicity wybrnęła z kłopotliwej sytuacji.

- Właśnie to miałem na myśli - uśmiechnął się lord Salwick. - Z tym, że ja jestem stronnicy.

- Mam nadzieję, że zawsze taki będziesz. Ostrzegam cię, Jimmy: w przeciwnym razie będę bardzo, bardzo zazdrosna.

- Zapewniam cię, najdroższa, że będę dwa razy bardziej zazdrosny. Gdy tylko spojrzysz na innego mężczyznę, niechybnie go zamorduję.

Felicity uśmiechnęła się zachwycona. Wzięła dłoń lorda i przyłożyła ją sobie do policzka.

- Będziemy szczęśliwi - wyszeptała - i nie będziemy mieli czasu dla nikogo oprócz siebie nawzajem.

- Możesz być tego pewna, kochanie. Chciałbym, by to wszystko nie było tak trudne i byśmy mogli pobrać się natychmiast.

- To nie będzie trwało długo, a ja nie mogę ryzykować utraty ciebie.

- Nigdy mnie nie stracisz - odparł lord. - Wiem, nie powinienem tego robić, czuję jednak, że i ja nie mogę ryzykować. Być może twój kuzyn naprawdę chce oddać cię komuś obcemu.

- Jestem pewna, że takie ma plany. W przeciwnym razie nie pisałby do mnie, zwłaszcza że nigdy przedtem tego nie robił.

- To istotnie jest bardzo podejrzane - powiedział lord Salwick - zatem zrobimy wszystko, co zechcesz. Muszę teraz wracać do domu, przygotować się do wyjazdu i wydać

niezbędne dyspozycje co do opieki nad gospodarstwem i końmi.

- Oczywiście! Nie zapomnij także, że chcę, aby któryś z twoich stangretów zawiózł Carmelę do Londynu.

Carmela wyglądała na zdziwioną i Felicity wyjaśniła:

- To byłby wielki błąd, gdyby wiózł cię stary Gibbons. Nie mielibyśmy pewności, czy nie plotkował ze służbą w Galeston House. Poza tym, zapominałby tytułować cię jaśnie panią...

- Rozumiem - przerwała jej Carmela - ale...

- Wszystko już załatwione - ciągnęła Felicity. - Jimmy ma nowego stangreta, który nigdy przedtem cię nie widział. Powie mu się, żeby tu przyjechał i zabrał pewną damę do Londynu. Nawet przez myśl mu nie przejdzie, że to mogę nie być ja! Poza tym kareta babci ma herb rodowy na drzwiach.

- I kiedy znajdę się w Galeston House? - spytała cicho Carmela.

- Kuzyn Selwyn przygotował dla mnie nocleg w Londynie. Jego powóz zawiezie cię do Galeston następnego dnia. Wszystko zorganizował tak dokładnie, jakby sądził, że ma do czynienia z istotą nie będącą w stanie myśleć samodzielnie.

- A może jest po prostu uprzejmy i przewidujący - zasugerował delikatnie lord Salwick.

- Żeby jeszcze bardziej mnie omotać?! Nie zapominaj, mój miły, że nigdy do mnie nie pisywał, nawet po śmierci babci.

- Zgadza się, że to niewybaczalne.

- Zastanawiam się tylko, którego z tych zbiedniałych marnotrawnych Gale'ów dla mnie wybrał?

Carmela spojrzała na nią ostrzegawczo w obawie, że lord Salwick może zacząć snuć podejrzenia na temat jej majątku.

Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że nawet nie wiedząc o olbrzymiej fortunie, można się było spodziewać, iż babka zostawiła Felicity w spadku nieco pieniędzy, nie mówiąc już o zamku i jego wyposażeniu.

Jakby czytając w jej myślach, Felicity powiedziała:

- Muszę teraz poczekać, aż Jimmy przygotuje wszystko i zdecydować, jakie rzeczy z zamku przeniesiemy do naszego nowego domu.

- Czy nie byłoby lepiej, żebym, kiedy dowiem się o waszym... ślubie, przyjechała tutaj? - spytała nieśmiało Carmela.

Felicity pokręciła przecząco głową.

- Może będziesz musiała uciekać, jeżeli kuzyn Selwyn zechce wprowadzić w życie swój plan albo stanie się nieprzyjemny... Lepiej dla ciebie, jeżeli znajdziesz się wtedy gdzieś, gdzie nie będzie mógł cię znaleźć.

- Tak... oczywiście - zawahała się Carmela. - Mam nadzieję, że nie będzie bardzo... bardzo zły, gdy się dowie, iż został wystrychnięty na dudka.

Felicity wzruszyła ramionami.

- A jeżeli nawet, to co? Będę już mężatką i zaopiekujemy się tobą, nieprawdaż, Jimmy?

- Oczywiście - zgodził się lord Salwick. - Nie będziesz musiała wracać na plebanie, czy szukać jakiegokolwiek innej pracy. Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca, nie wiedziałem o tym; dopiero Felicity mi powiedziała.

Carmela czuła łzy napływające do oczu i przez, chwilę * nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Felicity objęła ją.

- Już wszystko w porządku, najdroższa. Nie jesteś już sama. Jesteś z nami. Kochamy cię i nie pozwolimy ci cierpieć, tak jak cierpiałaś, pracując dla ludzi takich jak państwo Cooper.

- Chcieli być mili... - wykrztusiła Carmela.

- Mając takiego syna jak potwór Henry, nie można być miłym!

Ponieważ brzmiało to nieco groteskowo, Carmela zmusiła się do przelotnego uśmiechu.

- Muszę już iść - oświadczył lord Salwick. - Będziesz gotowa, gdy przyjadę po ciebie o dziewiątej, Felicity?

- Oczywiście! Nie będę miała zbyt dużego bagażu, gdyż zamierzam w Paryżu kupić całą wyprawę dla panny młodej. Będę wyglądała naprawdę pięknie.

- Jakżeby inaczej - uśmiechnął się lord.

- Nikt nie wie o naszym planie, z wyjątkiem Carmeli i Marthy. Powiem służbie, że wracam do Londynu.

- Zamierzasz tam nocować? - spytała Carmela; wiedziała, że ona także będzie w Londynie, w Galeston House.

- Tak, ale na wszelki wypadek nie w domu babci, bo ktoś mógłby się o tym dowiedzieć. Zamieszkać w hotelu pod przybranym nazwiskiem, a jak tylko dostaniemy się do Francji, będziemy znani jako lord i lady Salwick.

- Co nastąpi wkrótce - powiedział cicho Jimmy.'

- Tego właśnie pragnę, teraz i na zawsze. Spojrzeli na siebie i zupełnie zapomnieli o istnieniu Carmeli.

Carmela wiedziała, że chcieli się pożegnać, więc ukradkiem wymknęła się do swojego pokoju.

Ponieważ wszystko układało się po jej myśli i wydawało się bajecznie proste, Felicity przez resztę wieczoru była w doskonałym humorze.

Śmiały się wspominając dzieciństwo i tylko raz, zanim położyły się spać, Felicity powiedziała poważnym tonem:

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna, najdroższa! Nie mogę żyć bez Jimmy'ego, a tylko realizując ten plan mogę być pewna, że go nie stracę.

- Nie sądzę, żebyś miała go kiedykolwiek stracić - odparła Carmela.

- Chcę dać ci trochę pieniędzy - ciągnęła Felicity. - Wiem, jakie to musiało być upokarzające obywać się bez nich przez te wszystkie dni, kiedy pracowałaś u pastora.

Przeszły do sypialni i Felicity wyciągnęła z szuflady toaletki zalakowaną paczuszkę.

- Tu jest sto funtów, trochę w banknotach, trochę w monetach.

- Sto funtów? - wykrzyknęła Carmela. - Nie potrzebuję tak dużo!

- Oczywiście, że potrzebujesz! - powiedziała stanowczo Felicity. - A to dodatkowo czek na następne sto funtów; w każdej chwili możesz go zrealizować w Coutts Bank w Londynie.

- To za dużo! - protestowała Carmela.

- Pamiętaj, masz być bogata. Może jesteś nawet milionerką - pouczała ją Felicity. - Musisz dawać duże napiwki i mieć odłożoną sumkę, za którą będziesz mogła w każdej chwili uciec w razie czego. Może będziesz musiała wracać kareta pocztową? Jakkolwiek będzie, to straszne nie móc płacić za siebie - i ja chcę cię od tego uchronić.

- Jakaś ty dobra...

- Bynajmniej! To przecież ty oddajesz mi przysługę! Mam zamiar dawać ci w przyszłości tyle pieniędzy, ile tylko zapragniesz.

Carmela chciała powiedzieć, że duma nie pozwoli jej przyjmować żadnych pieniędzy od przyjaciółki. Przypomniała sobie jednak starą anegdotę o dumie i miłosierdziu i obie wybuchnęły śmiechem.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale od teraz ja jestem za ciebie odpowiedzialna. Ja pierwsza wychodzę za mąż i czuję

się tak, jakbyś była moją córką, którą muszę wprowadzić w dorosły świat,

Ponownie wybuchnęły śmiechem, ponieważ brzmiało to absurdalnie; ale gdy Carmela została sama, nie mogła powstrzymać się od uczucia, że była to niemal prawda.

Felicity była osobą, dla której świat bogatych i eleganckich ludzi nie miał tajemnic. Carmela w porównaniu z nią czuła się jak niedoświadczona uczennica, wstępująca w świat innych obyczajów, których nieznaną może w każdej chwili objawić się niezręcznością.

Mimo wszystko była szczęśliwa: te nowe suknie były tak podniecające; no i wyrwała się z plebanii!

Bóg będzie miał mnie w opiece, powiedziała sobie przed snem.

Była pewna, że jej mama i tata są w pobliżu i że w jakiś sposób uchronią ją od konsekwencji oszustwa, w które się wplątywała, chcąc pomóc Felicity.

Cokolwiek się stanie, postanowiła, nie będę niczego żałować.

Lord Galeston siedział w bibliotece nad mapą własnych posiadłości.

- Ponieważ od dawna tu nie byłem - powiedział do zarządcy - musisz przypomnieć mi nazwy lasów i farm. I oczywiście, muszę także poznać nazwiska obecnych dzierżawców.

- Myślę, że wasza lordowska mość znajdzie wszystkie niezbędne informacje w memorandum, które mu wręczyłem natychmiast, gdy był łaskaw przyjechać.

- Przeczytałem je - odparł lord - ale nie jest tak dokładne, jak bym sobie życzył.

Mówiąc to, widział, iż stojący przed nim człowiek jest niespokojny i był przekonany, że jego podejrzenia są w pełni uzasadnione. Było oczywiste, że zarządca to człowiek nie

tylko niekompetentny i leniwy, ale najprawdopodobniej także nieuczciwy.

Lord przyjechał do Galeston z otwartą głową, wiedząc, że błędem byłoby zbyt szybkie wprowadzanie zmian. Mówiąc słowami dowódcy udzielającego rady młodemu oficerowi wstępującemu do legionów, musi „spieszyć się powoli”, wkupić się w kompanię.

Nigdy, nawet w najśmielszych snach nie oczekiwał, że odziedziczy tytuł czy jakąkolwiek posiadłość.

Jego ojciec był najmłodszym synem, a lord wiedział, że zgodnie z angielską tradycją wszystkie rodzinne dobra należały się najstarszemu synowi. Tak więc młodszy brat, a tym bardziej jego syn nie mogli na nic liczyć.

Wybrał zatem armię i miał zamiar służyć w niej aż do przejścia na emeryturę.

Ponieważ był dobrym żołnierzem, pisał się po szczeblach kariery i awansował za zasługi, a nie - jak inni - kupując stopnie. Był już pułkownikiem, gdy dowiedział się, że jego wuj zmarł niespodziewanie, a on sam został siódmym lordem Galeston.

Wiedział oczywiście, że bezpośredni spadkobierca tytułu, jego kuzyn, został zabity tuż przed swoimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami.

Ale że jego wuj, chociaż długoletni wdowiec, był stosunkowo młodym mężczyzną, Selwyn Gale zakładał, że ponownie się ożeni i zrobi wszystko, by mieć syna. Na ogół jednak, zbyt zajęty swoją służbą, nie zwracał sobie głowy sprawami rodzinnymi.

Spędził kilka lat w Indiach, potem wrócił razem z sir Arthurem Wellesleyem, by przyłączyć się do kampanii przeciwko Napoleonowi w Portugalii i Hiszpanii, i wreszcie we Francji brać udział w pokonaniu cesarza pod Waterloo.

Selwyn Gale był bardzo zajęty dowodzeniem jednym z oddziałów okupacyjnych i dopiero w kilka miesięcy po odziedziczeniu tytułu i majątku niechętnie rozstał się z armią i rozpoczął nowe życie, jakże odmienne od wszystkiego, co znał dotychczas.

Zaskakiwała go wielkość dóbr, które posiadał, a także władzą, która wynikała z jego nowej pozycji.

Był także niezmiernie oszołomiony swoim nagłym bogactwem.

Przez całe życie doskwierał mu brak pieniędzy i teraz trudno było mu się przyzwyczaić do bycia bogaczem.

Uważał jednak, że lata względnego ubóstwa nauczyły go rzeczy, których nigdy nie zapomni: szacunku i współczucia dla biednych, którzy muszą głodować i liczyć każdy grosz, tak jak on kiedyś...

Było wszakże coś, czego w żadnym wypadku nie mógł usprawiedliwić i co doprowadzało go do szewskiej pasji: była to nieuczciwość.

Bardzo szybko spośród swoich podwładnych potrafił wykluczyć wszystkich cwaniaków, drobnych złodziejasków i pomniejszych oszustów.

Gdy został dziedzicem, zdał sobie sprawę, że jako bogaty człowiek jest uważany za łatwy cel dla wszystkich ludzi nieuczciwych, czekających na jego nieostrożność, niedokładność czy też chwilowe zapomnienie.

Robił zatem wszystko wolno, dokładnie; tu i ówdzie zauważył drobne marnotrawstwa i zbędne wydatki, lecz na razie nic nie mówił.

Obserwował tych, którzy jego kosztem napełniali własne sakiewki, czekając z uderzeniem na moment, kiedy siła jego dowodów zmiażdży ich.

Jeszcze raz zerknął na leżącą przed nim mapę i powiedział:

- Widzę, Matthews, że ostatnio sprzedałeś sporo drewna. Chciałbym zobaczyć księgi dochodów i poznać nazwisko kupca.

Zarządca zamrugał ze zdziwienia oczyma. Lord odkrył w rachunkach znaczne niezgodności związane ze sprawą sprzedaży drewna i dlatego zdecydował się wyjaśnić tę sprawę. - Co więcej - kontynuował. - nie mogę z tego spisu zorientować się w liczbie narzędzi, jakimi dysponujemy. Mam nadzieję, że znajdują się one gdzieś w pobliżu, ponieważ chciałbym się im przyjrzeć.

Zarządca stał spięty, gniotąc w rękach czapkę, a lord już wiedział, że księgi przychodów zostały sfalszowane, a połowa rzeczy zaksięgowanych jako zakupy - w ogóle nie istniała!

- Informacje, o które cię prosiłem, mają mi być przedstawione jutro. Zrozumiałeś, Matthews? - spytał. - Ponadto chciałbym zobaczyć się jutro z księgowym.

- To Lane, panie.

- Dobrze - rzucił krótko lord - - A ponieważ nie chciałbym marnować więcej czasu, niż jest to konieczne, każ mu przynieść księgi teraz, żebym mógł się im przyjrzeć.

Twarz zarządcy stała się chorobliwie blada i jego pan wiedział, że miał rację podejrzewając i jego, i księgowego o współpracę przy „pracy” nad księgami.

Zarządca wstał.

- To wszystko, Matthews - zakończył lord. - Zobaczymy się jutro o dziesiątej.

- Tak jest.

Zarządca podszedł do drzwi. Już prawie dotykał klamki, gdy zatrzymał się. Lord wiedział, że Matthews toczył walkę wewnętrzną: wyznać wszystko, czy też złożyć rezygnację.

Ostatecznie zdecydował się nie robić nic i opuścić pokój.

Lord był pewien, że do rana Matthews spakuje się i wyjedzie albo będzie próbował uczynić z księgowego kozła

ofiarnego, zwalając na niego odpowiedzialność za to, co się stało.

Lord ubolewał nad łatwownością swego wuja, który zaufał takiemu człowiekowi i mianował go swoim zarządcą.

Co gorsza, Selwyn Gale zdawał sobie sprawę, że znacznie więcej osób będzie musiało opuścić posiadłość. Zostaną zastąpieni bardziej uczciwymi pracownikami.

Przygnębiało go odkrycie, że rzeczy nie układały się dotychczas zgodnie z jego nadziejami. Sądził, że będzie otoczony przez godną zaufania służbę, traktującą swoją pracę dla rodziny jako przywilej.

Dopiero później doszedł do wniosku, iż był zbyt wielkim idealistą i oczekiwał zdecydowanie za dużo.

Wszędzie zdarzali się oszuści i naiwnością byłoby sądzić, że nie będzie ich w Galeston. Już niedługo pokażą swoje ohydne, gadzie łby.

Kiedyś miał złudzenia, że bogactwo, które napawało go tak wielką dumą, sprawi, iż zawsze wszystko będzie układało się po jego myśli.

Mylił się i dopiero teraz zaczął sobie z tego zdawać sprawę. Będzie musiał ciężko pracować i walczyć... Czekają go jeszcze wiele podobnych rozczarowań.

Patrzył przez okno na jezioro i odległe drzewa parku. Myśl o otaczających go dziesięciu tysiącach akrów ziemi napełniała go wielkim zadowoleniem i radością.

To wszystko było jego własne - jego na całe życie, a jeżeli dopisze mu szczęście, to także jego synów.

Nie będę taki głupi, by mieć tylko jednego potomka, pomyślał lord. Chcę mieć tuzin synów!

Uśmiechnął się do siebie, ponieważ wiedział, że najpierw musi znaleźć żonę.

Nie powinno to stanowić zbyt wielkiego problemu, szczególnie teraz, gdy jego pozycja pozwalała mu bardzo wiele ofiarować kobiecie, którą zdecyduje się poślubić.

Gdy był żołnierzem, często myślał, że nie byłoby go stać na małżeństwo, chyba żeby wybrał kobietę bogatą, co jednak było mało prawdopodobne. Nie lubił kobiet bogatszych od siebie, a kobiety, które go pociągały, nie potrafiłyby żyć z żołnierskiego żołdu.

Podczas swojej kariery wojskowej Selwyn Gale jako przystojny i inteligentny mężczyzna miał wiele płomiennych romansów z wieloma kobietami.

Zwykle nie trwały one jednak długo, jako że lord obciążony wojskowymi obowiązkami nie miał zbyt wiele wolnego czasu.

Wiedział, że żaden z jego przelotnych romansów nie przemieni się w związek na całe życie, bo choć kobiety uwielbiały siłę jego ramion i namiętność jego pocałunków, nie miały najmniejszego zamiaru spędzać życia jeżdżąc od obozu do obozu i obcując tylko z żołnierzami.

- Kocham cię, Selwyn - powiedziała pewnej nocy najpiękniejsza z jego wybranek serca. - Dlaczego, najdroższy, nie jesteś bogatym księciem albo majątnym markizem? Moglibyśmy żyć szczęśliwie po śmierci Harry'ego, która niechybnie nastąpi, wnioskując po ilości alkoholu, jaką ten biedaczyna wypija.

Mimo całej romantyczności tej sceny, Selwyn Gale nie mógł powstrzymać się od gorzkiej, nieco cynicznej refleksji, że miłość w pojęciu jego partnerki była czymś nietrwałym, wręcz błahym.

Był pewien, że gdy będzie w drodze do swojego pułku, dama leżąca teraz w jego ramionach poszuka pocieszenia u innego oficera.

Co więcej, wiedział, iż i on po rozstaniu rzadko będzie o niej myślał, mimo że była szalenie atrakcyjną i pociągającą kobietą.

Nigdy nie myślał serio o małżeństwie, może z wyjątkiem chwil, kiedy rozważając przejście w przyszłości w stan spoczynku, dumał o potrzebie towarzystwa na długie zimowe wieczory.

Teraz, gdy miał trzydzieści trzy lata, a jego przyszłość jawiła się w zupełnie innym świetle, znalezienie odpowiedniej żony i matki jego dzieci było ważnym punktem na prywatnej liście priorytetów lorda.

Pomyślę o tym, gdy doprowadzę posiadłość do jakiego takiego stanu, dumał.

W duchu przyznawał, że nigdy w życiu nie był szczęśliwszy. Zmieniał i ulepszał nie tylko dom i posiadłość, ale także samego siebie.

Lubił to, mimo że w jednostce śmiano się z jego pasji do zmian i ulepszania różnych rzeczy. Bezspornie posiadał jednak doskonały zmysł organizacyjny.

Tak jak planował rozmieszczenie oddziałów przed bitwą, których przegrał znacznie mniej niż jakikolwiek inny dowódca, planował zmiany w najbliższym swoim otoczeniu. Był pewien, że będzie w stanie zaplanować takie swoje życie - co do najmniejszego detalu.

- Załatwmy wpierw najważniejsze rzeczy - powiedział teraz do siebie lord, patrząc z okna na park.

Otworzył się drzwi i lokaj oznajmił:

- Przybył jego wysokość książę Frederich, jaśnie panie! Poprosiłem do Błękitnego Salonu.

- Dziękuję, Newman. Zaraz tam będę - odparł lord. Odwrócił się, by jeszcze raz ukoić oczy łagodnym słonecznym blaskiem.

Jeszcze jeden problem do rozwiązania, ale - pomyślał z zadowoleniem - znam już właściwą odpowiedź.

Wszystko było pod kontrolą i ta świadomość sprawiała mu wielką satysfakcję.

Odwrócił się od okna i wolnym krokiem podszedł do drzwi biblioteki. Czas zająć się sprawami księcia.

Pamiętał, jak Napoleon mówił kiedyś o umyśle jako o zbiorze szufladek; trzeba zamknąć jedną szufladkę z własnymi problemami, by móc otworzyć drugą na problemy innych.

Rozbawiło go to porównanie. Uśmiechając się przeszedł żwawym krokiem przez długi korytarz ozdobiony pamiątkami gromadzonymi przez stulecia przez rodzinę Gale'ów i wszedł do Błękitnego Salonu, gdzie czekał na niego książę Frederich.

Rozdział 3

Carmela czuła niepokój chwilami graniczący ze strachem, gdy karetka lorda wtoczyła się na główną aleję parku otaczającego posiadłość rodziny, Galeston.

Nawet wczoraj, gdy przybyła do Galeston House w Londynie, nie była tak zdenerwowana jak dzisiaj, ponieważ Felicity pokazała jej uprzednio list, z którego wynikało, że lorda w Londynie nie będzie.

Zamiast niego zastała sekretarza, starszego pana o nienagannych manierach, który powitał ją serdecznie niczym starą znajomą. Z wielkim szacunkiem wypowiadał się o hrabinie, u której kiedyś służył.

Ponieważ Carmela była zmęczona po długiej podróży, bardzo uradowała ją kolacja przyniesiona na tacy do sypialni. Wkrótce potem zasnęła.

Zgodnie z pouczeniem Felicity wyjaśniła, iż zmuszona jest podróżować samotnie, gdyż jej osobista służąca nagle się rozchorowała i musiała zostać na zamku.

- Zastanawiałam się, czy nie odłożyć przyjazdu - powiedziała do sekretarza - ale pomyślałam, że mogłoby to być niewygodne dla lorda; dlatego przyjechałam sama.

- To istotnie przykre - zasmucił się sekretarz - ale dopilnuję, by w jutrzejszej podróży do Galeston towarzyszyła jaśnie paniencie jakaś doświadczona służąca.

Noc minęła bez większych sensacji i rano powitała Carmelę niemłoda już służąca, która miała towarzyszyć jej w podróży na wieś.

Po drodze dużo rozmawiały i Carmela znalazła wiele odpowiedzi na nurtujące ją pytania i wątpliwości.

Po pierwsze, lord dopiero co wrócił do Anglii po dłuższej bytności na kontynencie. To oczywiście usprawiedliwiało jego niewiedzę o śmierci hrabiny; nie mógł być na pogrzebie, nie mógł nawet wysłać wieńca.

Lord był, jak określiła to służąca, „dobrym, prostolinijnym człowiekiem”, tyle że przyzwyczajonym do wydawania rozkazów żołnierzom.

Ta informacja potwierdzała słowa Felicity, która mówiła, że kuzyn Selwyn jest nie znoszącym sprzeciwu autokratą.

Służąca zaczęła wspominać stare czasy i Carmela wyczuła pewne zaniepokojenie w jej głosie, gdy mówiła o zmianach wprowadzonych ostatnio przez lorda, o nowych pomysłach i obowiązkach, do których wykonywania służba nie przywykła.

Wszystko to nie brzmiało zbyt zachęcająco i Carmelę coraz bardziej przerażała perspektywa spotkania z lordem i poddania się jego opiece choćby na krótki czas.

Teraz wiedziała, że Felicity słusznie postąpiła, uciekając z Jimmym do Francji. Gdyby usłuchała kuzyna i przyjechała do Galeston, mogłaby wystawić na ryzyko własne szczęście; utracić je na zawsze...

Muszę być bardzo ostrożna, nie ryzykować, żeby mnie nie zdemaskowano, zanim Felicity i Jimmy nie pobiorą się, postanowiła.

Odmówiła krótką modlitwę, w której prosiła Boga o dobrą śmierć dla szalonej żony Jimmy'ego, który kochał Felicity i tylko z nią mógł być szczęśliwy.

Jedyną rzeczą, która sprawiała, iż Carmela czuła się nieco pewniej, było jej nowe ubranie.

Służąca była przerażona faktem, że Carmela musiała nosić tę samą garderobę już drugi dzień.

- Chciałybyśmy, żeby jaśnie panienka została tutaj - powiedziała służąca - mogłybyśmy wtedy zobaczyć resztę sukni panienki. Od dawna nie gościła w naszych progach tak elegancka dama.

- Mam nadzieję, że lord wkrótce zacznie wydawać przyjęcia - odparła Carmela, czując, że musi powiedzieć cokolwiek.

- O, tak - przytaknęła ochoczo służąca. - Strasznie smutno i nudno siedzieć tak bez pracy tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Ale przecież jaśnie pan jest jeszcze młodym mężczyzną, może jaki ślub będzie?

Mówiąc to służąca spojrzała wymownie na Carmelę, tak jakby oczyma duszy widziała ją w sukni panny młodej.

Carmela pomyślała, że to przecież niedorzeczne. Przecież lord i Felicity byli kuzynami, a to było zbyt bliskie pokrewieństwo, żeby rozważać propozycję małżeństwa.

Jeżeli lord upatrzył dla Felicity męża, pomyślała Carmela, to na pewno będzie to ktoś z rodziny Gale'ów, kto potrzebuje pieniędzy. Muszę być bardzo ostrożna, aby mnie nie wydano za mąż wbrew mojej woli!

To była przerażająca myśl, ale Carmela miała pewność, że zamartwia się niepotrzebnie.

Wiedziała, że długi okres narzeczeństwa należał do dobrego tonu, a za miesiąc czy dwa żona Jimmy'ego umrze i ona będzie mogła spokojnie zniknąć.

Mimo że starała się uspokoić i wmówić sobie, że całe podniecenie jest zbyteczne, jej serce poczęło bić szybciej, gdy służąca wykrzyknęła:

- Jesteśmy na miejscu! Zaraz zobaczymy, co jaśnie panienska pamięta z dzieciństwa!

- Miałam wtedy tylko pięć lat - odparła Carmela - więc przypuszczam, że niezbyt wiele...

Niemniej jednak, gdy kilka minut później ujrzała olbrzymi dom, doszła do wniosku, że zobaczywszy raz coś tak okazałego, nie można o tym zapomnieć.

Kiedyś, dawno temu, dowiedziała się od hrabiny, że ongiś dom zbudowano na fundamentach klasztoru Cystersów, wprowadzając później wiele zmian, poprawek i unowocześnień.

W zeszłym wieku dziadek Felicity dodał nową fasadę z wysokimi korynckimi kolumnami i zakupił w Grecji posągi, które od tego czasu zaczęły zdobić szczyt budynku.

Wszystko to wyglądało imponująco i Carmela patrząc na ten olbrzymi dom czuła się mała, bez znaczenia, a przede wszystkim bardzo zagubiona.

Konie, jakby poczuły, iż są już blisko domu i świeżego siana, które czekało na nie w stajni, przyspieszyły, ze stępa przechodząc w galop. Minęli most nad jeziorkiem i zatrzymali się przed ciężkimi drzwiami frontowymi, do których prowadziły tarasowate schody.

Po chwili rozłożono czerwony dywan i Carmela domyśliła się, że to ona ma po nim stąpać.

Czując się jak w drodze na gilotynę, wysiadła z karety i zobaczyła lokajów w wypudrowanych perukach, nisko kłaniających się, gdy przechodziła.

W odpowiedzi uśmiechała się trochę niepewnie i gdy wreszcie doszła do drzwi, majordomus rzekł na powitanie:

- Witamy w domu, jaśnie panienko! To szczęśliwy dzień dla tych, którzy pamiętają jaśnie panienkę. Radzi jesteśmy znowu widzieć panią w naszych progach.

- Dziękuję - odparła Carmela. - Żałuję tylko, że nie ma ze mną mojej babci.

- Wszyscy tego żałujemy, jaśnie panienko - przytaknął skwapliwie lokaj.

Poprowadził ją przez olbrzymi marmurowy hall, którego ściany zdobiły wyrafinowane freski, doskonale harmonizujące z dostojnymi posągami.

- Jego lordowska mość oczekuje pani w salonie. Lokaj otworzył drzwi i oczom Carmeli ukazał się

przepiękny pokój z oknami wychodzącymi na wypełniony bzem ogród.

- Powiadomię jaśnie pana o przybyciu jaśnie panienki.

Carmela została sama i głęboko odetchnęła. Podeszła do okna.

Zapra gnęła być w domu, w rodzinnej wsi, patrzeć, jak ojciec maluje jeden ze swoich dziwnych, mistycznych obrazów... Nic by ją nie martwiło oprócz nie zapłaconych rachunków.

Gdy głębiej zastanowiła się nad swoją rolą w planie Felicity, doszła do wniosku, że nie tylko jest niebezpieczna, ale co gorsza, zasługująca ze wszechmiar na potępienie.

Jak mogła zgodzić się na udział w tak monstrualnym kłamstwie, skoro jej matka powtarzała setki razy:

- Kimkolwiek się jest, tchórzostwem jest uciekanie przed prawdą. Trzeba być zawsze gotowym do odważnego stawienia czoła wszystkiemu, co może przydarzyć się nam w życiu, choćby to było bardzo nieprzyjemne.

Ale przecież nie kłamię dla własnego dobra, próbowała uspokoić własne sumienie Carmela.

Ciągle jednak czuła się winna; przecież to, co robiła, było niewybaczalne.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i poczuła, jak serce jej zamiera. Powoli odwróciła się i ujrzała lorda idącego w jej kierunku.

Felicity zawzięcie go nienawidziła i opisywała pełnymi jadu epitetami, toteż Carmela spodziewała się ujrzeć jakiegoś ponurego starca, czyhającego na okazję, by wyrządzić jej krzywdę.

Zamiast tego oczom jej ukazał się wysoki, szczupły, wyjątkowo przystojny i doskonale ubrany mężczyzna.

Nie mogła jednak powstrzymać się od wrażenia, że lord uczynił wyjątek ubierając się na chwilę w cywilne ubranie i sam pewnie chciałby przebrać się w mundur...

Nie wiedziała, skąd przychodzą jej do głowy takie pomysły. Gdy podszedł bliżej i zobaczyła jego świdrujące,

taksujące spojrzenie, pomyślała, że rzeczywiście może on być tym potworem z opowieści Felicity.

- Miło mi cię poznać, kuzynko Felicity - odezwał się, a Carmela w odpowiedzi dostojnie dygnęła.

Wyciągnęła rękę na powitanie; lord uczynił to samo, i w momencie gdy poczuła siłę jego palców, wydało jej się, że bierze ją w niewolę, z której trudno będzie się wyzwolić.

- Czy miałaś dobrą podróż? - spytał.

- Tak, dziękuje bardzo - odpowiedziała Carmela. - Konie były bardzo chyże i nie zmarnowaliśmy ani chwili.

- Może usiądziesz - zaproponował lord. - Czy masz ochotę na coś orzeźwiającego?

- Nie, dziękuję.

- Wkrótce będzie obiad. Jestem pewien, że chcesz zwiedzić pałac, którego od wielu lat nie widziałaś.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Carmela. Ponieważ ogarnęła ją dziwna nieśmiałość, z rzadka tylko spoglądała na lorda.

Była jednak świadoma, że on patrzył na nią cały czas, obserwując nie tylko rysy jej twarzy, ale także zaglądając w głąb jej duszy, tak jakby podejrzewał, że nie była osobą, za którą się podawała.

Pomyślała, że to niedorzeczne. Przecież wyglądała jak Felicity, była ubrana jak Felicity. Nikt z rodziny Gale'ów nie widział jej od chwili, gdy skończyła pięć lat i nie było najmniejszych powodów do podawania w wątpliwość jej tożsamości.

- Widzę, że ciągle jesteś w żałobie po babci - zaczął lord.

- Nie było mnie w Anglii w chwili jej śmierci i dopiero miesiąc temu dowiedziałem się, że zostałaś sama.

Carmela milczała. Pochyliła tylko głowę myśląc, że właśnie miesiąc temu dowiedział się on o olbrzymiej fortunie, która stała się udziałem Felicity.

Kuzyn Selwyn zdawał się wyczekiwać odpowiedzi, więc odrzekła:

- Byłam we Francji... u kilku przyjaciół babci.

- We Francji? - zdziwił się. - Wiedziałem, że byłaś poza domem, ale nie przypuszczałem, iż możesz być za granicą.

- Babcia miała w sobie nieco francuskiej krwi i zawsze chciała, bym odwiedziła Francję, gdyż miała bardzo dobre wspomnienia stamtąd.

- A jak podobało ci się tam teraz? - zainteresował się lord.

- Kocham Francję i Francuzów - odparła wymijająco Carmela.

- Dużo wycierpeli za Napoleona. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że zdołają odbudować się jako naród i znowu zaczną odgrywać należną im rolę w Europie.

Lord mówił z takim zaangażowaniem w głosie, jakby sprawy Francji dotyczyły go niemal osobiście. Carmela spojrzała na niego, mając w zanadrzu mnóstwo pytań na temat Francji. Był to jednak niebezpieczny temat, jako że w tej kwestii odznaczała się absolutną ignorancją.

Powiedziała:

- Zawsze słyszałam o wspaniałości tego domu, ale to, co widzę, przerasta moje najśmielsze oczekiwania.

Lord uśmiechnął się.

- Czuję to samo, gdy wróciłem z Europy, by zająć miejsce głowy rodziny. - Zawahał się, by po chwili dodać: - Zdajesz sobie sprawę, że jestem teraz formalnie twoim opiekunem i jako opiekun mam plany dotyczące twojej przyszłości; porozmawiamy o tym nieco później. Jestem pewien, że chciałabyś się przebrać przed obiadem.

- Tak, oczywiście - odparła Carmela, szybko wstając.

Przeszli razem przez haft i gdy stali już przy schodach, lord powiedział:

- Powinna tam czekać pani Humphries, twoja osobista służąca. Opowiadała mi, że pamięta cię z czasów, gdy miałaś pięć lat. Jestem pewny, że zrobi wszystko, abyś czuła się tak dobrze, jak to tylko możliwe.

- Dziękuję.

Weszła po schodach i dopiero na górze odetchnęła z ulgą.

Pani Humphries wylewnie ją powitała, opowiadając o tym, jakim była czarującym dzieckiem i jak wszyscy w Galeston tęsknili za jej babką.

- Nigdy nie było tu nikogo, kto by jej dorównał - mówiła pani Humphries, pomagając Carmeli rozebrać się z podróżnych ubrań. - Na przyjęciach wyglądała jak królowa. Tyle że ja byłam wtedy dużo młodsza i dom wydawał mi się pałacem.

- To jest pałac - powiedziała z uśmiechem Carmela.

- Mamy tylko nadzieję, że jaśnie pan zacznie wydawać przyjęcia i bale, tak jak to dawniej bywało.

Zaczęła opisywać, jak wszystko stało się smutne i szare od chwili śmierci wicehrabiego we Francji i jak jej ojciec nigdy się nie otrząsnął ze smutku po stracie ukochanego syna.

- Lord naprawdę ciężko to przeżył - ciągnęła pani Humphries. - Mawiałam wtedy, że dobrze by było, gdyby jaśnie panienka przyjechała tu pocieszyć go. Jakby nie było, jaśnie panienka to jego krew, rodzona córka przecież.

- Nie przypominam sobie najdrobniejszej sugestii co do mojego przyjazdu tutaj - odparła cierpko Carmela. Wydawało jej się, że pani Humphries robiła jej wymówki za niewłaściwy, jej zdaniem, stosunek do ojca.

- Nic dobrego nie wynika z tych rodzinnych kłótni. Jest wystarczająco źle, gdy jeden naród staje przeciwko innemu narodowi... Ale gdy matka walczy z synem i cała rodzina się rozpada, to niech nikt mi nie mówi, że wszystko jest w porządku!

- Zgadzam się z panią - skinęła głową Carmela.

- Teraz, gdy jaśnie panienka wróciła, to choć jej ojca, świeć Panie nad jego duszą, nie ma już wśród nas, jestem pewna, że jaśnie panienka pomoże lordowi tak jak nikt inny.

Carmela miała ochotę powiedzieć, że jego lordowska mość doskonale radzi sobie sam i nie sprawia wrażenia człowieka potrzebującego czyjejkolwiek pomocy.

Im więcej o nim myślała, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że istotnie był przerażającym człowiekiem, aczkolwiek nie miało to nic wspólnego z opowieściami Felicity o nim.

Wiedziała, że musi mieć się na baczności. Odniosła wrażenie, iż jest pod ciągłą obserwacją, że jej, najmniejszy błąd, najdrobniejsze uchybienie nie ujdzie uwagi lorda. Musiała przyznać, że to całkiem naturalne obserwować kogoś, kto był z dala od rodziny przez tyle lat, ale mimo to wcale jej się to nie podobało.

Gdy już przebrała się w inną suknię Felicity, pani Humphries odprowadziła ją do schodów.

- Jaśnie panienka wygląda jak z obrazka! - powiedziała. - Teraz niech jaśnie panienka zacznie cieszyć się z pobytu tutaj, tak ja my cieszymy się z jej pobytu. Wtedy wszyscy będą szczęśliwi.

Mówiąc to, pani Humphries zerknęła przez barierki schodów na dół, a Carmeli wydawało się, że dostrzegła w tym spojrzeniu cień zaniepokojenia, iż lord mógł słyszeć to, co przed chwilą powiedziała.

Nawet służba się go boi! Ciekawe dlaczego? - pomyślała Carmela.

Zeszła po schodach, świadoma elegancji swojej sukni i nowej fryzury.

Gdy lokaj otworzył drzwi salonu, usłyszała głosy: lord nie był sam.

Nie spodziewała się, że rzeczy przyjmą taki obrót i "instynktownie" chciała się cofnąć. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie ma gdzie się schować... Miała tylko nadzieję, że jeżeli to jacyś krewni, nie powie ani nie zrobi niczego, co mogłoby ją zdemaskować.

W dalekim końcu salonu stał elegancko ubrany młody mężczyzna i rozmawiał z kuzynem Selwynem. Właśnie tak zawsze sobie wyobrażała typowego modnisia.

Jego biały krawat był zawiązany w skomplikowany, bardzo modny węzeł i doskonale harmonizował z koszulą najmodniejszego fasonu. Surdut był tak obcisły, że zdawało się, iż stanowi integralną część jego ciała; to samo można było powiedzieć o spodniach.

Jego heskie buty ze złotymi sznurówkami robiły duże wrażenie, tak samo jak oszałamiający sygnet na dłoni, który lśnił złotem i szlachetnymi kamieniami w promieniach słońca wpadających przez otwarte okno.

Przechodząc przez pokój Carmela zauważyła, iż lord i jego gość zamilkli i tylko wpatrywali się w nią.

Podeszła do lorda, który odezwał się następującymi słowy:

- Proszę pozwolić przedstawić sobie moją kuzynkę, Felicity Gale - jego wysokość księżę Frederich von Horngelstein!

Carmela pamiętała, że musi dygnąć po ukłonie księcia, który powiedział w doskonałej angielszczyźnie:

- Jestem zaszczycony, milady.

- Moja kuzynka nie była w Galeston od dzieciństwa - wyjaśnił lord - i przepych domu robi na niej takie samo wrażenie, jakie zrobił na mnie.

- O, tak. Musi to być zapewne odmiana dla pana, lordzie, po tak długim pobycie w niewygodnych kwaterach - uprzejmie zgodził się księżę.

- Zaiste, w Portugalii warunki były wyjątkowo podłe - odparł lord - ale w kraju waszej wysokości czułem się znakomicie.

- Pewnie nawet lepiej niż ja! - Księżę wybuchnął śmiechem.

Stojąc obok, Carmela poczęła zastanawiać się, co tutaj robi ten obcokrajowiec. Przysłuchując się rozmowie mężczyzn, doszła do wniosku, że po zaprzestaniu działań wojennych lord wraz ze swoją armią okupacyjną znalazł się w kraju księcia. Zastanawiała się, kiedy to mogło być, i wykombinowała, że Horngelstein było małym niemieckim księstwem zagarniętym przez Napoleona, które na mocy Kongresu Wiedeńskiego odzyskało swój uprzedni status.

Była zadowolona z tego, iż panowie rozmawiali z sobą i nie czynili najmniejszych wysiłków, by włączyć ją do konwersacji, gdyż o sprawach polityki tym razem wołała się nie wypowiadać.

Brak zainteresowania opinią Carmeli w sprawach wojennych nie oznaczał bynajmniej, że księżę ją lekceważył.

Przez cały posiłek czuła na sobie jego spojrzenie. Wydawało się jej, że księżę ocenia ją, tak jak niedawno robił to lord, starając się odgadnąć jej mocne i słabe punkty.

Nie wiedziała, dlaczego przyjechał do Anglii, ale było widać, iż łączyły go z kuzynem bardzo zażyłe stosunki. W jego słowach pobrzmiwała nuta podziwu, a nawet - jak się Carmeli zdawało - wdzięczności.

Lord najwidoczniej pomógł księciu odrestaurować państwo i powrócić do władzy, domyśliła się Carmela.

Postanowiła, że tak szybko, jak to będzie możliwe, zajrzy do atlasu, by dowiedzieć się czegoś o nie znanym jej państwie.

Obiad był wyśmienity; usługiwało wielu lokajów. Srebra na stole były przepiękne, tak jak i cała jadalnia, której ściany

zdobiły portrety przodków malowane przez doskonałych malarzy.

Szkoda, że nie ma tu taty, pomyślała Carmela.

Wiedziała, że nie tylko rozpoznałby większość obrazów, ale także opowiedziałby jakąś anegdotkę o każdym z malarzy.

Pamiętała, co kiedyś powiedział, kiedy rozmawiali o sztuce:

- Jedyna rzecz, o której marzę, to móc zabrać cię do Florencji albo Rzymu.

Carmela pomyślała, że byłaby szczęśliwa, gdyby ojciec był z nią tutaj; wiedziała od hrabiny, że Gale'owie byli posiadaczami olbrzymiej kolekcji płócien nie tylko malarzy angielskich, ale także mistrzów francuskich i flamandzkich.

Jej rozmyślania niespodziewanie przerwał głos lorda:

- Wyglądasz bardzo poważnie, Felicity. Czy coś cię martwi?

- Ależ nie! - zaprzeczyła dziewczyna. - Właśnie myślałam o obrazach.

- Gdy odzyskam obrazy skradzione przez Napoleona i wywiezione do Paryża - wtrącił się książę, zanim lord zdążył cokolwiek powiedzieć - gwarantuję, że zainteresujesz się, pani, sztuką średniowieczną w najlepszym wydaniu.

- Interesuje mnie malarstwo wszystkich epok - wyjaśniła Carmela. - Wasza wysokość powiada, że jego kolekcja została zrabowana... Czy są jakieś widoki na odzyskanie jej teraz, gdy wojna już się skończyła?

- Właśnie tego próbuję się dowiedzieć - odparł książę. - I potrzebuję pomocy lorda w rozmowach z rządem francuskim. Chcę się upewnić, że mnie nie oszukają.

- Rozmawiałem w tej sprawie z księciem Wellingtonem - odezwał się lord - i uzyskałem jego zapewnienie, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by sprawiedliwości stało się zadość.

- Właśnie o to prosiłem. Myślę, że zgodzisz się ze mną, pani, iż wszyscy mamy prawo do sprawiedliwości po tylu okropieństwach wojny.

- Oczywiście - przytaknęła Carmela. - Mam nadzieję, że poszukiwania księcia dadzą rezultaty.

- Z twoją pomocą, pani, jestem tego pewien - odparł książę.

Carmela spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma. Wydawało się jej, że się przesłyszała.

Po chwili jednak wytłumaczyła sobie, iż książę zapewne miał na myśli, że ona poprze pomoc, jakiej udzieli mu lord w odnalezieniu obrazów i zwróceniu ich prawowitemu właścicielowi.

Po skończonym posiłku nie poszli, jak to było w zwyczaju, do salonu, lecz do olbrzymiej biblioteki. Książę przeprosił i na chwilę opuścił ich towarzystwo, tak że Carmela i lord zostali sami.

Carmela niezbyt uważnie słuchała tego, co do niej mówiono, lecz z zachwytem rozglądała się po bibliotece.

Czuła, że jest tu mnóstwo książek, które od dawna pragnęła przeczytać. Po pierwsze, chciała znaleźć atlas geograficzny...

Ledwie zamknęły się drzwi za księciem, powiedziała:

- Ponieważ nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się państwo jego wysokości, może pośród tych wspaniałych tomów udałoby mi się odszukać atlas?

- O, tak. Z pewnością mamy tu atlas - odparł lord. - Zaraz zajrzę do katalogu. - Mówiąc to, podszedł do stolika, na którym leżało trochę książek i różnych papierów.

- Jest mi niezmiernie miło, że okazujesz zainteresowanie Horngelsteinem.

- Chcę wiedzieć, gdzie leży i jacy ludzie tam mieszkają. Wnioskując z nazwy, pewnie mówią po niemiecku.

- Horngelstein znajduje się na granicy niemiecko - francuskiej i jego mieszkańcy są pół Niemcami, pół Francuzami - wyjaśnił lord. - Są uroczy, gościnni, przyjacielscy i bardzo szczęśliwi, że wojna się skończyła.

- Tak jak wszyscy - dodała cicho Carmela.

Lord wertował leżące na stoliku papiery i po chwili wykrzyknął:

- Otóż i katalog! Byłem pewien, iż gdzieś tu będzie, mimo że ostatni bibliotekarz przeszedł na emeryturę.

Przejrzał katalog, rozejrzał się po półkach i wreszcie wręczył Carmeli książkę oprawioną w czerwoną skórę. Dziewczyna usiadła za stojącym na środku biblioteki stołem i otworzyła atlas. Przez chwilę przewracała strony, aż wreszcie dotarła do mapy Europy. Lord wskazał na małe państewko przycupnięte obok Francji i powiedział:

- To jest Horngelstein. Twoje przyszłe państwo!

Carmela zamarła. Dopiero po chwili zdołała wydusić z siebie pytanie:

- Czy... czy powiedziałeś: moje państwo?

- Sądziłem, że domyślisz się powodu wizyty księcia. Carmela spojrzała lordowi prosto w oczy i powiedziała:

- Obawiam się, że nie całkiem rozumiem...

- Pozwól mi zatem wszystko sobie wyjaśnić - odparł. - Jako twój opiekun postanowiłem oddać cię księciu Frederichowi za żonę. Powinnaś być szczęśliwa.

Carmela czuła, jak wzbiera w niej złość.

- Postanowiłeś wydać mnie za mąż, nawet nie pytając o moje zdanie? Bez mojego pozwolenia i wbrew mojej woli?!

- Nie mogę uwierzyć, że masz coś przeciwko temu! - W głosie lorda brzmiało prawdziwe zdziwienie.

Carmela szybko odparła:

- Ależ oczywiście, że mam coś przeciwko temu! Czy sądzisz, że jakakolwiek kobieta zgodziłaby się wyjść za mąż za mężczyznę, z którym rozmawiała tylko kilka minut?

Lord gapił się na nią bezmyślnie i sprawiał wrażenie nic nie rozumiejącego.

- Nawet przez myśl mi nie przeszło, że nie będziesz zachwycona perspektywą zostania księżną.

- Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałoby cię to obchodzić! - zdenerwowała się Carmela. - Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale kobiety także mają uczucia, jak wszyscy ludzie.

Przez chwilę zdawało się, że lord szuka odpowiednich słów dla wyrażenia swoich myśli. Wreszcie odparł:

- Być może się mylę, ale zawsze wydawało mi się, że to rodzice znajdowali córkom kandydatów na mężów, a one bez dyskusji przyjmowały ich wybór,

Ku utrapieniu Carmeli było to mniej więcej zgodne z prawdą.

Jimmy Salwick został zmuszony do małżeństwa przez swoich rodziców, gdyż doszli do wniosku wraz z rodzicami panny młodej, iż będzie ono korzystne dla obu stron. A to, czy młodzi się kochali, nikogo nie obchodziło.

Pamiętała, jak Felicity opowiadała o swoich przyjaciółkach, wydanych za mężczyzn, których szczerze nienawidziły, a mimo to nie miały najmniejszej szansy uniknięcia związku z nimi.

Teraz zrozumiała, dlaczego Felicity tak bardzo bała się przyjechać do Galeston. Coś podobnego mogło stać się jej udziałem, a że lord był jej prawnym opiekunem, nic by nie mogło jej uchronić od małżeństwa z kimś obcym.

Carmela wiedziała, że musi walczyć. Nie tylko dlatego, że nie była dziedziczką, za którą uważał ją lord, ale także

dlatego, iż rodzice zawsze zachęcali ją, by brała sprawy we własne ręce.

Nawet gdyby księżę naprawdę chciał poślubić Carmelę Lyndon, dziewczynę bez tytułu, nie miałby żadnych szans na jej zgodę; Carmela nie nawykła do tak despotycznego traktowania.

Miała rację Felicity mówiąc, że wszyscy Gale'owie są władczy, bezwzględni i bez serca.

Mimo iż miała poślubić kogoś, kto nie należał do rodziny Gale'ów, to wnioskując z treści przeprowadzonej podczas obiadu rozmowy, księżę także rozpaczliwie potrzebował pieniędzy na odbudowanie kraju z wojennych zniszczeń.

Właśnie dlatego lord zdecydował się oddać mu rękę bardzo bogatej panny.

Carmela zdawała sobie sprawę, że lord ciągle wpatrywał się w nią z niejakim zakłopotaniem i gdyby nie powaga sytuacji na pewno wybuchnęłyby śmiechem.

- Być może - zaczął lord - powinienem był powiedzieć ci o tym nieco wcześniej. Zapewniam cię jednak, że księżę jest nadzwyczaj czarującym człowiekiem: znam go od dawna. Jego państwo poważnie ucierpiało od francuskiego najazdu, a jego pałac został doszczętnie splądrowany przez napoleońskich żołdaków.

- Domyślam się, że księżę potrzebuje pieniędzy!

- Oczywiście - zgodził się lord. - Nie mogę sobie wyobrazić lepszego sposobu spożytkowania twojej olbrzymiej fortuny, jak dzięki niej pomóc temu czarującemu człowiekowi i sprawić, by jego poddani znowu byli szczęśliwi.

Carmela milczała, gdy tymczasem lord ciągnął dalej:

- Potrzebne są szkoły i szpitale. Trzeba odbudować kościoły... Jestem pewien, że to wszystko okaże się pasjonujące dla ciebie.

- Być poślubioną mężczyźnie, którego nie znam? -
zdziwiła się Carmela.

- Powiedziałem ci, że jest uroczy.

- To twoja opinia - odparła Carmela. - Ale to nie ty
będziesz musiał mieszkać w obcym kraju, otoczony obcymi
ludźmi.

- Jestem pewien, że szybko zawrzesz nowe przyjaźnie i
doskonale się dostosujesz do nowej sytuacji - cierpliwie
przekonywał ją lord.

- O, tak. Gdybym tylko tego chciała. Ale pozwól sobie
coś wyjaśnić, mój drogi kuzynie: nie mam najmniejszego
zamiaru wychodzić za mąż w tej chwili, a już na pewno nie za
zagranicznego księcia, którego dopiero co poznałam!

Lord z hukiem położył katalog na stole i zdecydowanym,
chciałoby się rzec - wojskowym, krokiem podszedł do
Carmeli.

- Ależ, Felicity, to przecież absurdalne! Uważam twoją
postawę za absolutnie nieodpowiedzialną. Przecież
przeprosiłem cię już za pośpiech, w jakim to wszystko się
stało. Musisz sobie zdać sprawę z jednego: prędzej czy
później będziesz musiała wyjść za mąż. Nie chciałbym cię
widzieć otoczonej wianuszkami łowców fortun.

- Kimże innym jest książę?

Carmela była zbyt rozzłoszczona, by bać się
czegokolwiek. Cieszyła się, że Felicity wraz z Jimmym byli
już w drodze do Francji i że jej przyjaciółka nie musiała
szaleńczo walczyć ze swoim kuzynem, którego także zaczęła
ogarniać złość.

W jego oczach czaiła się zawziętość i upór, o którym
Carmela tyle słyszała od Felicity. Może rzeczywiście nie
należy nigdy stawać na drodze nikomu z Gale'ów?...

Gdy tak stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem,
Carmela poczuła się mała, bezradna i absolutnie bez żadnych

szans w konfrontacji z tym wysokim, pewnym siebie mężczyzną.

Ponieważ jednak miała to szczęście, że nie była prawdziwą Felicity, wiedziała, iż może walczyć o zachowanie zasad, w których słuszność i prawość nie wątpiła w najmniejszym stopniu. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila i ona odkryje swoje karty, księżę zrezygnuje z zamiaru poślubienia ubogiej córki niewydarzonego wiejskiego malarza.

- Moim zdaniem niegodziwe jest sprzedawanie kobiety mężczyźnie, tak jakby była towarem. Jak już powiedziałam, mam uczucia i ja osobiście nie poślubiłabym mężczyzny, bez względu na jego pozycje czy majątek, gdybym go nie kochała... i on nie kochałby mnie.

- Zdumiewasz mnie! - Lord nieco podniósł głos. - Skąd będziesz wiedziała, że jesteś kochana dla siebie samej, a nie pieniędzy?

Carmela przez chwilę milczała.

- Myślę, że miłości... prawdziwej miłości nie można udawać. Nie można odegrać jej niczym taniego przedstawienia na wiejskim jarmarku. Tylko głupiec da się nabrać na nieszczerze komplementy i czułe słówka zrodzone z chciwości.

Lord nie mógł przez chwilę znaleźć żadnego argumentu przeciwko wywodom Carmeli, podszedł więc do okna i zaczął patrzeć na park.

Po długim milczeniu przemówił:

- Podejrzewam, że mając zbyt małe doświadczenie w obcowaniu z tak młodymi panienkami jak ty, nie przewidziałem, iż nie zaakceptujesz mojej decyzji, która została podjęta w najlepszej wierze i tylko twoim interesom służyć miała. W rzeczy samej byłem przekonany, że oddaję ci przysługę.

- Przysługę, która ubliża mojej inteligencji!
 - Zawsze uważałem dziewczęta opuszczające szkoły za stworzenia nieobyte i głupawe. Ciebie, widać, zaliczyć do nich nie mogę!
 - Nigdy nie spotkałeś mojej babki, ale musiałeś o niej słyszeć. Niektórzy starsi słudzy ciągle ją pamiętają. Pragnę cię zapewnić, że mieszkanie i życie obok niej było edukacją stokroć lepszą od najlepszego uniwersytetu. Lord zaśmiał się krótko.
 - Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego krewniacy, z którymi zacząłem mieć kontakty, od kiedy odziedziczyłem tytuł i majątek, zawsze wspominali spór pomiędzy twoim ojcem i jego matką, jakby od niego co najmniej zależały losy świata.
 - Być może tak to odczuwali. Wyjechała stąd ślubując, że nigdy tu już nie powróci, i słowa dotrzymała, urządzając sobie życie gdzie indziej.
 - Zakładam, że skoro pojechałaś razem z nią, to tak jak ona będziesz budziła strach - głos lorda przesycony był sarkazmem.
 - Mam nadzieję - odparła Carmela.
- Mówiąc to pomyślała, jak bardzo podziwiała i kochała hrabinę. To była prawda, że samo mieszkanie z nią stanowiło najlepszą szkołę charakteru i ona wraz z Felicity miały ogromne szczęście obcując na co dzień z tak wspaniałą kobietą.
- Zapadła głęboka cisza, którą przerwał chłodny głos lorda:
- Felicity, masz tylko osiemnaście lat. Nieważne, jak cię wykształcono: babka nie żyje i teraz ja jestem twoim opiekunem, mnie musisz być posłuszna.
 - A jeżeli odmówię?

- Wtedy będę zmuszony poszukać innych sposobów, aby zmusić cię do uznania mojej władzy, czego na razie nie chcę robić.

Carmela uśmiechnęła się pogardliwie.

- Co sugerujesz? - spytała. - Zamkniesz mnie w lochu? A może będziesz mnie głodził i bił, dopóki nie przysięgnę ci posłuszeństwa? A może po prostu zawleciesz mnie do ołtarza?

Próbowała go przedrzeźniać, lecz jej głos był bardzo delikatny i słowa, które wypowiedziała, nie brzmiały tak agresywnie, jakby sobie tego życzyła.

Znowu milczeli.

- To będzie o wiele prostsze - uśmiechnął się. - Jako twój opiekun mam prawo rozporządzać twoim majątkiem aż do chwili, kiedy ukończysz dwadzieścia jeden lat.

Carmela zastanawiała się gorączkowo, co może zrobić, aby ostrzec Felicity przed takim obrotem rzeczy.

Rozważała różne warianty, lecz czuła, że lord wypowiedziawszy ostatnie słowo zdawał sobie sprawę z jej zakłopotania i właśnie napawał się zwycięstwem.

Nienawidzę go! - pomyślała.

Tym razem ją przechytrzył i będzie musiała być bardzo, bardzo ostrożna, by swym postępowaniem nie wyrządzić Felicity żadnej krzywdy.

Milczeli chwilę. Wreszcie lord odwrócił się od okna i podszedł do niej.

- Wydaje mi się, Carmelo, że oboje zbyt pochopnie wyciągnęliśmy sztylety i zaczęliśmy walczyć, nie zastanowiwszy się, kto może zostać ranny i jak głęboka może być ta rana.

Carmela milcząco spojrzała na niego.

- Zaczniemy wszystko od początku? - spytał. - Przepraszę cię za mój pośpiech, a w zamian poproszę o powtórne rozważenie mojej propozycji.

Carmela doskonale zdawała sobie sprawę, że lord uważał ją za pokonaną, i mimo że bitwa nie została jeszcze rozstrzygnięta, wiedziała, iż lord zrobi wszystko, żeby utrzymać status quo.

Zdecydowała, że najrozsądniej będzie przyjąć tę propozycję zawieszenia broni i potem zastanowić się, co czynić.

- To prawda, że zostałam zaskoczona, ale jeżeli mogę, jak mówisz, zastanowić się nad twoją propozycją jeszcze raz... Gdy lepiej poznam księcia, to kto wie... Może rzeczywiście zmienię zdanie.

Obserwując lorda, nie mogła powstrzymać się od wrażenia, że na jego twarzy pojawił się okropny uśmiech samozadowolenia.

- Pamiętaj jednak - szybko dodała - że ciągle jestem w żałobie po babci i przez kilka najbliższych miesięcy nie będę w stanie myśleć o małżeństwie.

Lord zmarszczył brwi i Carmela zdała sobie sprawę, że nie był przygotowany na taką odpowiedź.

- Nie mogę uwierzyć - powiedział po kilku chwilach - że twoja babcia chciałaby, abyś chodziła w żałobie po niej dłużej, niż jest to przyjęte.

- Myślę, że zależy to nie od norm ustalonych przez społeczeństwo, lecz od uczuć, które łączyły mnie z nią - odparła cicho Carmela.

- Rozumiem to - zgodził się lord. - Pamiętaj jednak o tych wszystkich dobrych rzeczach, które możesz zrobić mając taki majątek. Pamiętaj o ludziach, którzy skorzystają z twojej hojności i wreszcie o szczęściu, które stanie się twoim udziałem, gdy poślubisz tego zacnego człowieka.

- Z pewnością o tym pomyślę.

Lord wyciągnął dłoń.

- Właśnie to chciałem usłyszeć - powiedział. - Tymczasem może byśmy spróbowali zostać przyjaciółmi? Nie zaczynamy kolejnej wojny pomiędzy Gale'ami!

Ponieważ nie mogła zrobić niczego innego, Carmela przyjęła jego dłoń, jeszcze raz przekonując się o sile jego palców.

Ogarnęło ją przemożne uczucie, że będzie musiała jeszcze walczyć z lordem. I że ta walka nie będzie łatwa...

Rozdział 4

Schodząc po schodach Carmela myślała, że gdyby nie fakt, iż każde jej nierozważne posunięcie może drogo kosztować Felicity, jej sytuacja byłaby całkiem zabawna.

Lord ogłosił rozejm i zaczął traktować ją jak normalną, inteligentną kobietę, a nie jak głupawą kilkunastoletnią panienkę.

Przez ostatnie dwa dni przyglądała się nieporadnym wysiłkom lorda, który prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu musiał brać pod uwagę uczucia innych.

Zapraszał ją do wspólnych rozmów z księciem, pytał o zdanie w różnych kwestiach i nawet słuchał tego, co miała do powiedzenia.

Carmela zdawała sobie sprawę, iż lord nie był przyzwyczajony do takich stosunków z innymi ludźmi; dotąd zawsze oczekiwał, że jego polecenia będą wykonywane bez najmniejszego sprzeciwu.

Jednakże dobre maniery zmuszały go do liczenia się ze zdaniem księcia, który miał dla niego tyle podziwu, iż graniczył on niemal z uwielbieniem.

Powoli zaczęła ją wciągać szermierka na słowa z lordem, te dialogi pełne dowcipu i drobnych złośliwości.

Wiedziała, że zaskoczyła go swoją znajomością sztuki, o której wiedziała znacznie więcej niż on.

Jeszcze większe zdziwienie wywołała jej znajomość europejskich zagadnień politycznych.

Zawdzięczała ją nie ojcu - on był jej nauczycielem sztuki - lecz hrabinie, która przez znajomości z wieloma politykami zawsze doskonale orientowała się w wydarzeniach na scenie politycznej nie tylko Anglii, ale także całej Europy.

Każdego ranka Carmela i Felicity musiały czytać na głos przemówienia członków Parlamentu drukowane w *The Morning Post*. Następnie hrabina wyjaśniała im wszystkie

obce terminy, a jako że osobiście znała wielu z mówców, przytaczała zabawne anegdoty związane z przywódcami partii po obu stronach Izby.

Felicity zawsze uważała te rozmowy z babką za raczej nudne, ale dla Carmeli były one niezwykle interesujące. Teraz używała swojej wiedzy, by zaskoczyć lorda i - wiedziała o tym - oszołomić go.

Dlaczego ma myśleć, że wszystkie dziewczęta są głupie? - zadawała sobie pytanie, oburzona, i postanowiła wykazać, iż rozumowanie lorda jest pozbawione wszelkich podstaw.

Wczoraj wieczorem, gdy zawzięcie spierali się na temat reform, które były o wiele spóźnione, by wpłynąć na poprawę doli chłopów, lord powiedział".

- Być może za długo przebywałem poza Anglią, na kontynencie, ale nie mogę uwierzyć, że sprawy mają się tak źle, jak je przedstawiłaś.

- Niestety, wyglądają jeszcze gorzej - odparła Carmela. - Tania żywność z Europy zalewa rynek i wygląda na to, iż chłopci stoją na krawędzi bankructwa.

Z wyrazu twarzy lorda wywnioskowała, że nie uwierzył jej, więc dodała:

- Spytaj, ile banków chłopskich zamknięto zeszłego roku. Porozmawiaj z dzierżawcami twoich pól, a dowiesz się, jak rozpaczliwie walczą, by utrzymać siebie i swoje rodziny.

Lord milczał przez chwilę.

- Sądziłem, że takie jak ty panienki są zbyt zajęte tańcem i sukniami, by wiedzieć cokolwiek o cierpieniach świata pracy.

- Mamy oczy po to, aby widzieć, i uszy po to, aby słyszeć. W ten sam sposób, lordzie, możesz spojrzeć na warunki życia ludzi okaleczonych podczas wojny. Po zwolnieniu z wojska nie powodzi im się najlepiej w kraju, który nie dał im żadnych rent. Najpewniej oczekuje się, że zamieszkają na ulicach i będą żebrać. Ponieważ naprawdę była zła na to, co działo się

w Huntingdonshire, mówiła nieco podniesionym głosem, jej oczy błyszczały w świetle jasno palących się świec. Właśnie to wydało się lordowi bardzo pociągające. Spojrzała na księcia, mając nadzieję, że ten nie tylko słucha Carmeli, ale także ją podziwia. Książę jednak siedział za spuszczoną głową, wpatrując się w talerz i z roztargnieniem kruszył chleb.

- Co martwi waszą wysokość? - spytał lord. Gość przez dłuższą chwilę nic nie odpowiadał, jakby myślami był gdzieś daleko.

- Właśnie zastanawiałem się, że skoro takie rzeczy zdarzają się w takim bogatym, dobrze prosperującym kraju jak Anglia, to co musi dziać się w zniszczonym wojną Horngelsteinie?

Zapadła cisza. Carmela wiedziała, że zdaniem lorda odpowiedzią na to pytanie będzie majątek Felicity, nad którym książę uzyska kontrolę po ślubie. Otoczy wtedy opieką potrzebujących poddanych.

Ponieważ był to niebezpieczny temat, powiedziała szybko:

- Porozmawiajmy o czymś bardziej zabawnym. Jestem pewna, że o tej porze roku powinien książę doskonale bawić się na przyjęciach wydawanych przez regenta w Carlton House.

- A czy pani byłaś na jakimś? - spytał książę. Carmela pokręciła przecząco głową.

- Miałam zostać przedstawiona królowej - wyjaśniła - ale, niestety, babcia zmarła.

- Musisz czuć się zatem bardzo rozczarowana, pani.

- Znacznie bardziej żałuję straty babci, która była wyjątkową osobą.

Spojrzała na lorda i dodała prowokująco:

- Była bardzo mądra, ale chyba miała zbyt bujną osobowość jak na wymagania rodziny Gale'ów! Nigdy jednak

się już nie dowiedzą, jak wiele stracili przez te wszystkie lata, które minęły od chwili jej wyjazdu.

- Jestem chyba ostatnią osobą, do której możesz o to mieć pretensje - odparł lord, nieco rozbawiony.

- Babcia zawsze mówiła, że Gale'owie są zawzięci i dogmatyczni. Poza tym nie interesuje ich żaden punkt widzenia oprócz ich własnego.

Lord wybuchnął śmiechem.

- Czy właśnie tak myślisz o mnie?

- Nie mogę być aż tak nieuprzejma w stosunku do mojego gospodarza, by oskarżać go o którąkolwiek ze wspomnianych cech - powiedziała poważnie Carmela. - Ale oczywiście należysz do rodziny Gale'ów!

- Ty także - odciął się lord.

- W każdym stadzie znajdzie się czarna owca!

- I ty uważasz się za nią? Przychodzi mi na myśl wiele dużo bardziej trafnych określeń.

- Mnie też - wtrącił się książę. - Pani jest bardzo piękna; jestem pewien, iż słyszałaś to od tuzinów mężczyzn.

Jego słowa brzmiały zbyt gładko, by były prawdziwe. Patrząc na niego, Carmela wiedziała, że ją podziwiał, ale była także pewna, iż daleki był od zakochania się w niej.

Myśląc o tym, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gdy książę wydawał się zupełnie pochłonięty konwersacją, jakaś część jego umysłu była gdzieś daleko. Postanowiła się upewnić, czy jej podejrzenia są słuszne.

Dogodna sposobność nadarzyła się po obiedzie, kiedy to panowie zeszli do salonu. Po kilku minutach pojawił się lokaj, powiedział coś do ucha lordowi, który wyszedł wymruczawszy przeprosiny.

- Zastanawiam się, co mogło się stać - zaczęła Carmela.

- A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? - spytał książę.

Trzymając w ręku kieliszek koniaku podszedł do sofy i usiadł obok niej.

- Teraz możemy porozmawiać. Czasami wydaje mi się, że twój kuzyn, mimo całego szacunku, jakim go darzę, jest nieco nadopiekuńczy w stosunku do ciebie, zanadto cię pilnuje.

- Jestem pewna, iż nie mamy sobie do powiedzenia niczego, czego on nie mógłby usłyszeć.

- Nie - powiedział książę. - Wolałbym jednak rozmawiać z tobą bez świadków, pani. Trudno mi zalecać się do kogoś w obecności widowni.

Carmela szybko odwróciła od niego wzrok.

- Nie chcę tego wysłuchiwać - odparła. - Wasza wysokość, przecież dopiero co spotkaliśmy się... Chcę zostać pana przyjaciółką, ale nie ma mowy, by było między nami cokolwiek innego.

Mówiła z wahaniem, starannie dobierając słowa...

- Wiesz, pani, iż twój opiekun zgodził się na nasze małżeństwo?

- Powiedział mi. Wyjaśniłam mu, że nie wyjdę za żadnego mężczyznę, dopóki nie będę go kochała.

Książę odstawił kieliszek i pochylił się, by ująć dłoń Carmeli.

Dziewczyna zeszywniała; nie znosiła, gdy dotykali jej obcy. Książę powiedział:

- Ja i moje państwo potrzebujemy cię.

- Czego naprawdę potrzebujecie - odparła Carmela - to moich pieniędzy na odbudowę kraju ze zniszczeń wojennych.

Pomyślała, że książę może poczuć się dotknięty, więc szybko dodała;

- To wielki zaszczyt dla mnie, iż wasza wysokość pragniesz mnie poślubić, ale... jestem przecież zwyczajną angielską dziewczyną, która chce wyjść za kogoś, kogo sama kocha i przez kogo jest kochana.

- A może i mnie byś pokochała, gdybyśmy lepiej się poznali? - spytał książę.

- To możliwe - zgodziła się Carmela - ale odnoszę wrażenie - i proszę mi wybaczyć, jeśli się mylę - że pana serce należy już do kogoś innego.

To było odważne zagranie, ale Carmela była prawie pewna, że w chwilach zadumy książę myślał o kimś, kto był bardzo daleko.

Na dźwięk tych słów książę jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń, jakby natychmiast potrzebował jej wsparcia i pomocy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Po prostu czuję, że cały czas myślisz, książę, o kimś bardzo ci bliskim.

Książę ciężko westchnął.

- Jesteś, jak to się mówi, jasnowidzem!

- A więc to prawda? Książę skinął głową.

- I nie możesz jej poślubić? Książę ponownie westchnął.

- Chcę, oczywiście, że chcę! Ale prawdę mówiąc, jestem tchórzem.

- Tchórzem? - zdziwiła się Carmela.

Jeszcze raz jego palce ścisnęły dłoń Carmeli, jakby książę czerpał z niej siłę.

- Ona jest wszystkim, co liczy się dla mnie na tym świecie! Ale cóż, kiedy jest - książę zawahał się - Francuzką!

Oboje milczeli przez chwilę i wreszcie Carmela rzekła:

- Rozumiem. Po tym, co wasi poddani wycierpieli od Napoleona, zapewne trudno byłoby im zaakceptować księżnę tej narodowości.

- Podejrzewam, że nie mieliby innego wyjścia - uśmiechnął się książę. - Przyzwyczailiby się.

Carmela wszystko już zrozumiała.

- Z tego, co wasza wysokość mówisz, wynika, że gdy mój kuzyn zasugerował mnie jako przyszłą żonę, książe nie odważył się wspomnieć mu o własnych planach.

- Zgadza się - wyszeptał.

- Musisz być odważny i wziąć za żonę kobietę, którą naprawdę kochasz, a nie wybraną przez kogoś innego.

- Trudno mi zrobić coś wbrew woli twojego kuzyna, który dowodził armią okupacyjną w moim kraju.

- Może on sądzi, że ma na wszystko proste rozwiązania. Prawda jest jednak inna: aby państwo było szczęśliwe, w pierw musi być szczęśliwy ten, kto państwem rządzi.

- Gdybyż tak było...

- Czy opowiesz mi, książe, o wybrance swego serca? - spytała Carmela.

- Jej ojciec jest Francuzem, który mieszkał nie opodal granicy z Horngelstein. Zanim Napoleon mianował się cesarzem, żyliśmy w zgodzie ze wszystkimi sąsiadami, tak na północy, jak i na wschodzie.

- Znowu tak będzie - powiedziała Carmela. - Napoleon został przecież pokonany i osadzony na Wyspie Świętej Heleny.

- Z pewnością tak się stanie - zgodził się książe. - Gdy twój kuzyn przybył do Horngelstein, by oswobodzić nas z niedobitków armii francuskiej, nie tylko zwrócił mi tron, lecz także obiecał pomoc w odbudowie przemysłu i wsparciu rzeszy moich biednych poddanych...

Carmela pomyślała, ile radości sprawiłaby lordowi możliwość odbudowy państwa wedle własnych koncepcji, ale głośno powiedziała:

- Zawsze uważałam ludzi, którzy sądzą, że wiedzą, co jest lepsze dla nas, za nieco zbyt wyniosłych i zarozumiałych. Jeżeli ma się choć trochę charakteru, trzeba samemu

decydować o rzeczach dla nas ważnych, dotyczących nas osobiście.

- Toż właśnie to chciałem zrobić - powiedział cicho książę - ale Gabrielle powiedziała mi, żebym zapomniał o niej i zaczął myśleć o Horngelsteinie.

- Jeżeli tak powiedziała, to znaczy, że, naprawdę cię kocha.

- Naprawdę tak sądzisz? - rozjaśnił się książę.

- Oczywiście! Jeżeli kobieta naprawdę kocha mężczyznę całym sercem, zrobi wszystko dla jego dobra, poświęci się.

Mówiąc to była pewna, że gdy kobieta, a zwłaszcza Francuzka, rezygnuje z korony, może oznaczać to tylko jedno: Gabrielle kochała księcia zbyt mocno, by działać na jego szkodę.

Przecież ja czułabym to samo, pomyślała.

- Musisz wrócić do kobiety, którą kochasz, i spytać ją, czy będzie wystarczająco odważna, by stawić czoło tym obywatelom twego państwa, którzy ciągle będą nastawieni wrogo do Francji... Razem będziecie musieli uporządkować sprawy Horngelsteinu. Bez niczyjej pomocy...

- Pokochają ją tak, jak ja ją kocham. Jestem tego pewien.

- Przecież wielu twoich poddanych ma w sobie francuską krew! Trudności na pewno będą mniejsze, niż sobie wyobrażasz!

Carmela zamilkła, by po chwili na nowo podjąć wątek:

- Czytałam w gazetach, że Europa odczuwa olbrzymi brak materiałów, narzędzi i maszyn, których nie produkowano w czasie wojny, gdyż całą produkcję zdominowała broń.

- Zgadza się - przytaknął książę.

- W takim razie znajdzie się coś, co będziecie mogli produkować w Horngelsteinie. Na pewno uzyskacie pożyczkę od Anglii albo jakiegoś innego państwa biorącego udział w

Kongresie w Wiedniu, choćby małą sumkę, która pozwoli dać ludziom zatrudnienie... Książę uniósł jej dłoń do ust.

- Dziękuję, stokrotnie dziękuję! Właś, pani, we mnie nowego ducha i teraz będę zachowywał się jak na mężczyznę przystało.

Książę ciężko westchnął, jakby olbrzymi kamień spadł mu z serca.

- Wstydzę się, iż znęciła mnie wizja twojego kuzyna i uwierzyłem, że bogata żona będzie rozwiązaniem wszystkich moich problemów. Powiedział, że znajdzie mi taką żonę i brzmiało to tak prosto, tak przekonywająco... Sam uwierzyłem, że robię dobrze poświęcając siebie i swoje uczucia dla interesu państwa. Teraz wiem, że byłem po prostu słaby i jak ty byś to nazwała, nieudolny.

Carmela zaśmiała się krótko.

- Tak naprawdę - odezwała się - to wysłuchiwałeś gładkich słów sprzedawcy, który tak absolutnie jest przekonany o doskonałości swojego towaru, że nie dał ci nawet szansy wyrażenia własnych potrzeb.

Książę wybuchnął śmiechem.

- Wydaje mi się, iż jesteś nieco nieuprzejma w stosunku do swojego kuzyna. Ale to prawda, iż jest on człowiekiem nieco zaborczym, o przytłaczającej osobowości.

- Wszyscy Gale'owie są tacy.

- Z wyjątkiem ciebie. - Książę uśmiechnął się. - Uważam cię nie tylko za piękną kobietę, ale także godną podziwu, mądrą przyjaciółkę.

Jeszcze raz pocałował dłoń Carmeli i dodał:

- Dziękuję, jeszcze raz dziękuję! Jesteś piękna, jesteś jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie spotkałem w życiu i chciałbym, żebyś poznała moją Gabrielle.

- Będę zaszczyczona - odparła Carmela.

- Razem odbudujemy mój kraj. - W oczach księcia pojawiły się żywsze iskierki, a w jego głosie nowy, radosny ton. - I kiedy do nas przyjedziesz, będziesz zdziwiona tym, co udało nam się osiągnąć.

- O, tak! Będę zdziwiona - wybuchnęła śmiechem Carmela.

Książę nerwowo spojrział na drzwi, jakby nagle sobie przypomniał o lordzie.

- Co mam powiedzieć twojemu kuzynowi? Jeżeli powiem, że zmieniłem zdanie, będzie bardzo zły, może nawet poczyta to za zniewagę.

Carmela zastanawiała się przez chwilę i wreszcie powiedziała:

- Czy nie możesz mu powiedzieć, że otrzymałeś pilną depeszę od ministra i jesteś proszony o niezwłoczny powrót do kraju z powodu jakiegoś kryzysu?

Książę milczał, od czasu do czasu kiwając głową na znak, że słucha. Carmela mówiła dalej:

- Możesz mu powiedzieć, że wyjeżdżasz tylko na kilka dni, może na tydzień... W tym czasie musisz udać się do Gabrielle i przygotować wszystko do ślubu... Nie wydaje ci się, że królewski ślub, bez względu na to, kim będzie panna młoda, rozweseli twoich poddanych i pozwoli im otrząsnąć się ze wspomnień, zapomnieć o tych wszystkich koszmarach, które przeżyli w czasie wojny?

Carmela uśmiechnęła się.

- Kobiety będą chciały sprawić sobie nowe suknie z okazji tak romantycznego wydarzenia, a jeśli powiesz swoim, jak bardzo kochasz przyszłą żonę, to zapewniam cię: wszyscy będą życzyli ci szczęścia bez względu na jej narodowość.

Mówiąc to, Carmela doszła do wniosku, iż sam ślub księcia wywoła wiele negatywnych reakcji pośród młodych ludzi, w szczególności u kobiet. Ale jeżeli książę i Gabrielle

rozegrają to dyplomatycznie, będą w stanie w niedługim czasie zjednać sobie nawet przeciwników ich małżeństwa.

- Masz rację! Jestem pewien, że tak będzie - powiedział z zapalem książę.

Zamyślił się na moment.

- Dostałem dzisiaj kilka listów. Posłaniec przywiózł je z naszej ambasady w Londynie, ale nie ma w nich niczego ważnego.

- Lord nie musi o tym wcale wiedzieć... - Po chwili namysłu Carmela dodała: - Możesz powiedzieć, że nie chciałeś psuć wieczoru, mówiąc mu o tym wcześniej. Potem, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń, powiesz mu, że mieliśmy bardzo ciekawą rozmowę i obiecałam, iż po twoim powrocie znowu będziemy rozmawiali o naszej wspólnej przyszłości.

Książę zastanowił się nad tym, co Carmela właśnie powiedziała, i w jego oczach pojawiła się iskierka zrozumienia dla jej planu.

- To bardzo dyplomatyczne, pani. Dzięki temu lord pozbędzie się wszelkich podejrzeń co do przyczyny mojego wyjazdu.

- To oczywiste. Błędem byłoby powiedzieć mu, że po prostu uciekasz.

Książę wybuchnął chłopięcym śmiechem.

- Jesteś wspaniała! Być może popełniam błąd, rezygnując ze starań o twoją rękę. Może to właśnie ty, niczym Katarzyna Wielka, powinnaś rządzić moim krajem?

- Na pewno nie byłbyś zachwycony... Jestem pewna, i nie silę się tu na żadne pochlebstwa, że wasza wysokość będziesz dobrym i popularnym monarchą.

- Dziękuję! Dziękuję! Trudno mi wyrazić moją wdzięczność za to, co dla mnie zrobiłaś! Widzę teraz przyszłość w zupełnie innych barwach.

- Pewnie znowu powiesz, że jestem jasnowidzem, ale na pewno razem z Gabrielle będziecie tworzyli bardzo szczęśliwy związek. Dzięki waszym wspólnym wysiłkom Horngelstein stanie się zamożnym państwem szczęśliwych ludzi.

- Szczerze marzę o tym! Oby tylko to się spełniło! Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by twoje słowa stały się rzeczywistością.

Książę trzymał Carmelę za rękę. Dziewczyna czuła, iż jego podziękowania są szczerze i płyną z głębi serca.

Uśmiechali się nawzajem do siebie, gdy otworzyły się drzwi i wszedł lord.

Ponieważ Carmela siedziała twarzą do drzwi, ona pierwsza go zobaczyła. Była pewna, że nie umknęły jego uwagi ich ręce splecione w uścisku.

Carmela była przekonana, że lord weźmie to za dobrą monetę. Istotnie na jego twarzy zagościł uśmiech zadowolenia.

Książę uwolnił dłoń Carmeli i wstał..

- Właśnie mówiłem lady Felicity, że muszę wrócić na kilka dni do Horngelsteinu.

- Wasza wysokość nas opuszcza? - spytał lord.

- Robię to z wielkim żalem - tłumaczył książę - ale dzisiaj rano dostałem list od premiera, który błaga mnie o powrót. Mały kryzys konstytucyjny.

Książę ciężko westchnął.

- Wymaga to mojego osobistego zaangażowania, ale nie potrwa długo. Mam nadzieję, że wrócę w przeciągu tygodnia.

Lord przestał marszczyć brwi i powiedział:

- Będziemy tęsknili za waszą wysokością. Mamy nadzieję, że wasza wysokość wrócisz tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Na pewno - odparł książę. - Właśnie o tym rozmawiałem z uroczą lady Felicity.

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, co niezmiernie rozbawiło Carmelę. Zamiast wybuchnąć śmiechem, powiedziała współczującym tonem:

- To będzie tak męczące dla waszej wysokości... Słyszałam jednak, że teraz znacznie łatwiej podróżować przez Francję.

- To prawda - zgodził się książę. - Jeżeli wyruszę jutro z samego rana, to mam nadzieję wrócić tutaj pod koniec tygodnia.

- Będziemy niecierpliwie wyczekiwali powrotu waszej wysokości - powiedziała Carmela. - Nieprawdaż, kuzynie?

- O, tak - odparł lord. - Każę przygotować najszybsze konie, które zawiozą waszą wysokość do Dover, skąd wasza wysokość popłynie moim jachtem na drugą stronę kanału. Tak będzie znacznie szybciej niż zwykłym statkiem, na który trzeba czekać dwa dni.

- Jesteś, panie, niezmiernie uprzejmy. Trudno mi wyrazić wdzięczność za to, co dla mnie zrobiłeś.

- Proszę nawet nie próbować - przerwał pospiesznie lord. - Pójdę teraz przygotować wszystko do podróży.

Mówiąc to podszedł do drzwi, a gdy tylko książę upewnił się, że nie zostanie usłyszany, powiedział:

- Droga Felicity, udało się! Naprawdę się udało!

- Oczywiście. Bądź jednak ostrożny, by nie wzbudzić nawet najmniejszych podejrzeń co do twojego powrotu.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodził się książę. Po chwili milczenia spytał:

- Czy powiesz mu po moim wyjeździe, że nie zamierzam powrócić?

- Dopóki nie będę musiała - nie. Nie chcę ściągać na siebie jego gniewu, póki nie będzie to nieuniknione.

- Był dla mnie bardzo uprzejmy i bardzo mi pomógł - powiedział książę. - Nienawidzę myśli, że muszę go oszukać. Z drugiej strony jednak...

- Twoja przyszłość należy do ciebie - dokończyła zdanie Carmela.

Mówiąc to pomyślała, że lordowi dobrze zrobi, gdy coś pokrzyżuje mu plany. O wiele za często wtrąca się w nie swoje sprawy.

Miała wielkie szczęście: sprzeciwiając się lordowi niczym nie ryzykowała. Gdyby to Felicity była na jej miejscu, sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót... Gdyby jej przyjaciółka zignorowała fakt, iż serce księcia, należało do innej - zostałaby zmuszona do wyjścia za niego.

Miałam szczęście, że odgadłam, co go dręczyło, myślała.

Ta umiejętność przewidywania, intuicja albo, jak powiedział książę - zdolność jasnowidzenia, były czymś wrodzonym. Był to instykt, a może nawet talent, którego Felicity była pozbawiona.

Książę będzie szczęśliwy, a ja mogę spokojnie grać na zwłokę, zanim Felicity nie poślubi Jimmy'ego, dumiała.

Aż do powrotu lorda rozmawiała z księciem o różnych błahostkach. Lord, zobaczywszy wcześniej ich ręce splecione w czułym uścisku, nabrał przekonania, że wszystko dzieje się zgodnie z jego planem i młodzi zaczynają przywiązywać się do siebie.

Gdy książę powiedział dobranoc i poszedł do swojego pokoju, by zobaczyć, czy wszystko zostało przygotowane do podróży, Carmela z lordem zostali sami.

- To wyjątkowo przykre - zaczął lord - że książę Frederich musi nas opuścić, kiedy między wami zaczęło się tak dobrze układać.

- Jest młodym, przystojnym mężczyzną, bardziej inteligentnym, niż przypuszczałam.

- Pierwszy raz słyszę taki komentarz od dziewczyny w twoim wieku - odparł.

- Masz, kuzynie, zabawne poglądy na temat wieku - rzekła Carmela. - Pozwól mi zauważyć, że nie ma miarki do mierzenia ludzkiej inteligencji, ponieważ w różnych latach ludzie się różnie rozwijają.

- Wiem o tym - przytaknął.

- Pomyśl więc o tym, że czasami nawet trzydziestoletnia kobieta może być lekkomyślnym stworzeniem, podczas gdy dziewczyna w moim wieku może być całkiem rozumna.

Lord zaśmiał się.

- Kiedy warczysz tak na mnie niczym młoda tygrysica, twoje oczy rzucają piekielne iskry... Twoja dzikość oślepia mnie.

- Przykro mi, jeżeli to ci przeszkadza.

- Wręcz przeciwnie - to mnie intryguje. - Po chwili namysłu dodał: - Tak samo, jak intryguje i zachwyca to naszego książęcego gościa. Ale skoro on teraz wyjeżdża, muszę powziąć decyzję, co zrobić z tobą do jego powrotu.

- Są przecież konie, a ja jeszcze nie widziałam posiadłości...

- Zgoda, ale chodzi mi o to, czy wolałabyś towarzystwo kogoś z rodziny, czy też życzysz sobie poznać niektórych sąsiadów.

Carmela pomyślała, że to byłoby zbyt niebezpieczne, więc szybko powiedziała:

- Proszę, zostańmy sami! Nie chcę być wypytywana o babcię i założę się, że skoro pogoda jest tak piękna, ty sam nie będziesz chciał siedzieć w domu i rozmawiać z jakimś wścibskim sąsiadem!

- Broń Boże! - Lord przestraszył się nie na żarty. - Jednak zastanawiam się, czy nie będzie wyglądało to dziwnie, że jesteś tutaj sama, bez żadnej opiekunki?

Carmela wiedziała, że wszystko wyglądałoby jeszcze dziwniej, gdyby dowiedzieli się, kim była naprawdę.

Każda opiekunka byłaby jednak zapewne straszną nudziarą, zatem Carmela postanowiła podejść lorda od innej strony:.

- Szczerze mówiąc, to zupełnie tak, jakbym mieszkała z ojcem. Jesteś przecież moim opiekunem, co do tego nawet Gale'owie nie mogą mieć najmniejszych wątpliwości.

Lord roześmiał się.

- Sposób, w jaki mówisz: „nawet Gale'owie”, uświadamia mi, co o nich myślisz.

- Wiem, co oni myśleli o babci - odcięła się Carmela.

- Z pewnością nie było to gorsze od tego, co ona o nich myślała. Mam tylko nadzieję, że ty nie zaczniesz jej naśladować.

- Jesteś jedynym Gale'em, którego do tej pory poznałam, więc podzielę się z tobą moją opinią, jak tylko ją sobie wyrobię.

- Już zaczynam się ciebie bać - zadrwił lord.

- To nie narusza naszego rozejmu - powiedziała Carmela, jakby lekko się usprawiedliwiając.

- Ufam, że tak się nie stanie. Jestem zadowolony, że wszystko się układa, i mam nadzieję, że przyszłość będzie jeszcze lepsza.

Carmela wiedziała, że ma na myśli jej małżeństwo z księciem. Aby jeszcze bardziej utwierdzić go w przekonaniu, że jest panem sytuacji, skromnie spuściła oczy i w milczeniu oczekiwała, co jeszcze lord ma do powiedzenia.

Zapadła cisza; Carmela zastanawiała się, o czym tak rozmyśla.

- Jesteś bardzo piękna, Felicity - powiedział nagle. - Książę jest głupcem, wyjeżdżając teraz, gdy jeszcze nie

przysięgłaś mu swojej ręki. Niech pomyśli o majątku, który na niego czeka!

- To przecież niedługie rozstanie - powiedziała po chwili Carmela.

- Wiem - odparł. - Boję się jednak, że może porwać cię Archanioł Gabriel lub, co gorsza, pojawi się lepszy kandydat do twej ręki i trudno będzie odrzucić mi jego ofertę.

Carmela uśmiechnęła się.

- Prawdopodobieństwo pojawienia się Archanioła Gabriela jest niewielkie - zaczęła Carmela. - Być może jednak Apollo znajdzie dla mnie miejsce w swoim rydwanie i trudno będzie mi odrzucić jego ofertę.

- Konie Apolla nie są szybsze od moich... Obiecuję księciu, że będą one czekały na niego w Dover, tak że po jego powrocie nie będziesz miała najmniejszej szansy ucieczki przed nim.

- Jesteś pewien, że będę próbowała?

- Zachowujesz się tak, jakbyś chciała zmusić mnie, abym powiedział, że chcę zamknąć cię w lochach i trzymać tam o chlebie i wodzie.

- To brzmi całkiem interesująco - odpowiedziała Carmela - atrakcyjność tej propozycji zależy wszakże od osoby strażnika.

Zerknęła znacząco na lorda, ciekawa reakcji na jej ostatnie słowa.

Wyraz jego twarzy jednoznacznie wskazywał na to, iż był pewien, że Carmela próbuje z nim flirtować.

Obudzony się następnego ranka, Carmela zdała sobie sprawę, że ciągle myśli o lordzie, i to w ten sam sposób jak wieczorem, gdy kładła się spać.

Jeszcze raz zachichotała: myśl, że lord może sądzić, iż ona stara się go oczarować, wydała się jej absurdalna.

Nie miała takiego zamiaru... Ale to przecież było prawdopodobne, bo lord, mimo swej przygniatającej osobowości, był jednak bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Jak mógłby choćby przez chwilę sądzić, że jego kuzynka Felicity tak o nim pomyśli? - pytała Carmela samą siebie.

Potem doszła do wniosku, że jeżeli lord wyobrazi sobie, iż ona myśli o nim jak o mężczyźnie - jeszcze szybciej będzie chciał wydać ją za mąż.

Dobrze wiedziała, w jakim typie kobiet gustował, a z tego, co mówił dotąd, jasno wynikało, że na pewno nie były to młode dziewczęta.

Carmela przemyślała wszystko jeszcze raz i uznała za obraźliwe to, że uważał ją za bezwonną kretynekę, która natychmiast wykona bez szemrania każde jego polecenie, a w odpowiedzi na jego propozycje lub. życzenia zdobędzie się najwyżej na krótkie „tak”.

Przypomniała sobie wszystkie ich rozmowy z ostatnich dni: przecież lord nie potrafił ukryć swojego zaskoczenia, ilekroć udzielała mu jakiejś inteligentnej odpowiedzi albo używała w dyskusji argumentów, które zmuszały go do wysiłku intelektualnego!

Byłoby bardzo dobrze dać mu nauczkę; może przestałby być taki uparty w przyszłości.

Może nauczy się czegoś, gdy się dowie, że księżę nie wróci, ponieważ zamierza poślubić tę Francuzkę, Gabrielle. Przynajmniej raz coś się stanie wbrew jego planom!

Na pewno go to zaskoczy, zwłaszcza jak mu powiem, że od początku znałam prawdę! - pomyślała z zadowoleniem Carmela.

Miała nadzieję, że nie będzie na to długo czekała. Lord zrozumie, jak się mylił planując zamążpójście i nawet nie pytając jej o zdanie.

Przypuszczam, że w wojsku zbierał same pochwały za swoje nieprzeciętne zdolności organizacyjne, pomyślała z pogardą, zastanawiając się, co też on mógł pisać w swoich raportach kierowanych do księcia Wellingtona.

Mylił się! Po prostu się mylił! - powtarzała w myślach Carmela. Tak samo, jak mylił się co do Felicity.

Ubrana w strój do jazdy konnej, zeszła po schodach, przyglądając się po drodze obrazom, z których wyzywająco, jak jej się przynajmniej wydawało, spoglądali na nią przodkowie lorda. Jakby w rewanżu, dumnie wyprostowała się, odwzajemniając spojrzenia.

Umówili się na przejażdżkę o dziesiątej. Prawdę mówiąc, była gotowa już wcześniej, ale pomyślała, że byłoby błędem, gdyby to ona czekała na lorda.

Nie było go jednak w hallu; stał przed domem, głaszcząc konie i rozmawiając ze stajennym, który trzymał przeznaczonego jej konia.

Jej rodzina nigdy nie mogła sobie pozwolić na kupno drogich koni szlacheckiej krwi. Mieli tylko dwa: jeden służył ojcu do polowań, na drugim jeździła matka.

Carmela miała wielkie szczęście, gdyż pozwalano jej jeździć na rumakach należących do hrabiny. Uczyła się jazdy konnej u tego samego nauczyciela co Felicity; wiedziała, że była doskonałym jeźdźcem.

Zauważyła, iż lord był zadowolony znowu ją widząc, prawdopodobnie dlatego, że nie kazała na siebie zbyt długo czekać.

Sądziła, że stajenny pomoże jej usadowić się w siodle, ale to lord objął ją w talii, podniósł i wsadził na konia, mówiąc przy tym:

- Jesteś tak lekka! Trudno mi uwierzyć, że poradysz sobie z koniem tak dużym jak Flycatcher.

- Nie ucieknę na nim, jeżeli tego się obawiasz.

- Miał to być komplement - wyjaśnił. - Jest za wczesna pora na jakiegokolwiek docinki, przynajmniej dla mnie...

Carmela zaśmiała się.

- Przepraszam najmocniej! Po prostu bałam się, że każesz mi jechać na jakiejś powolnej szkapie, a mnie się tak podoba Flycatcher!

- Obiecuję ci, że będziesz mogła na nim jeździć, kiedy tylko zechcesz - powiedział dosiadając swego konia.

Ruszyli galopem, aż policzki Carmeli zaróżowiły się, a oczy zaczęły błyszczeć. Gdy zwolnili do kłusa i jechali obok siebie, lord rzekł:

- Jesteś wspaniałym jeźdźcem i wybaczone, że się powtarzam, ale nie spodziewałem się tego po dziewczynie w twoim wieku.

- Właśnie przypomniało mi się, że babcia zawsze mawiała, iż Gale'owie nigdy nie przyznają się do błędów.

- Bywają wyjątki - lord uśmiechnął się do Carmeli i przez chwilę jechali w milczeniu.

Świeciło słońce, w drzewach śpiewały ptaki, motyle krążyły nad kwiatami i cały świat był tak piękny, że Carmela nie miała ochoty na jakiegokolwiek utarczki.

Przecież dopiero co pracowała na plebanii, walcząc z okrutnym Henrym i starając się udobruchać jękliwą Lucy!

Doskonale pamiętała, jak nocami myślała bez promyka nadziei, że jej niedola nigdy nie będzie miała kresu i niczym noc wchłonie jej życie.

Teraz, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko się zmieniło.

Nosiła suknie, które z powodzeniem zdobyłyby każdą księżniczkę, jeździła na najdoskonalszym wierzchowcu i prowadziła rozmowy z najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Pomyślała o tym wszystkim i doszła do wniosku, iż powinna uklęknąć i dziękować Bogu.

Po chwili zdała sobie sprawę, że wpatruje się w lorda, O tak, miała rację: lord był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, szczególnie gdy nie zachowywał się zbyt agresywnie. Zaiste, prawdziwy mężczyzna.

I nagle w jej głowie zakołatało pytanie; pytanie, którego nigdy by się nie spodziewała:

Przypuśćmy, ale tylko przypuśćmy, że zawsze mogłaby tak jechać obok niego?

Rozdział 5

Dziś rano - powiedział lord - chcę się wybrać na szczyt wzgórza Gale. Pamiętam, że byłem tam jako chłopiec i wywarło to na mnie bardzo duże wrażenie.

Carmela przypomniała sobie, że hrabina wspominała niegdyś w rozmowie o tym wzgórzu. Nie pamiętała jednak, o co dokładnie chodziło, więc nie podjęła tematu.

Przedarli się już przez gęste zarośla i wjechali na strome zbocze zupełnie pozbawione drzew. Carmela przewidywała, że na szczycie wzgórza oczekuje ją piękny widok.

Ujechali już ponad trzy mile od domu i konie musiały zwolnić; gdyż droga znienacka przerodziła się w wąską dróżkę.

Gdy dotarli na szczyt, okazało się, że Carmela miała rację: dokoła roztaczał się przepiękny widok. Ale to nie było wszystko: na szczycie znajdowało się także coś, co wyglądało na kamienny pomnik.

Zsiedli z koni i Carmela zapytała:

- Myślałam, że to jakaś świątynia... Po co postawiono ten pomnik?

- Zaraz ci pokażę - powiedział lord uśmiechając się.

Szedł przodem, prowadząc swojego konia za uzdę, Carmela szła za nim z Flycatcherem.

Gdy podeszli do pomnika, ujrzała, że jedną jego część stanowiła płaska kamienna płyta z wyrzeźbioną na niej różą wiatrów. Dopiero teraz zrozumiała znaczenie wypowiedzianych kiedyś przez hrabinę słów i wykrzyknęła: - Teraz już pamiętam! Słyszałam o tym kiedyś!

Lora rozejrzał się w koło, a po chwili przeniósł wzrok na kamienne inskrypcje.

Carmela podążyła śladem jego spojrzenia i przeczytała:

Cała ziemia, jaką widzisz ze szczytu tego wzgórza, należy do rodziny Gale'ów i znajduje się w jej posiadaniu od 1547 roku.

Gdy przeczytała to na głos, lord powiedział:

- Pamiętam, jak przyjechałem tu po raz pierwszy. Byłem tak mały, że ten napis wydawał mi się za trudny do przeczytania.

- Pamiętam, jak babcia mówiła, że to nieprawda - odparła Carmela. - W jasny dzień można dojrzeć trzy inne hrabstwa, gdzie ziemia należy już do kogoś innego.

Lord uporczywie wpatrywał się w nią. Potem zapytał:

- Tak powiedziała?

- Tylko powtarzam, co od niej usłyszałam, gdy wspominała o domu i o tym, jak cała rodzina Gale'ów uwielbia przechwalać się swoimi posiadłościami.

Drażniła lorda, sądząc, że będzie się śmiał. On jednak stał, poważnie wpatrując się w napis.

- Natychmiast każę to usunąć. Nienawidzę i brzydzę się tylko jednej rzeczy: kłamstwa!

Był bardzo zły i Carmela patrzyła na niego ze zdziwieniem, że tak błaha sprawa może go do tego stopnia rozżłościć.

Ponieważ ciągle wpatrywał się w inskrypcję, Carmela powiedziała:,

- Przykro mi, ale nie chciałam... nie chciałam cię zdenerwować. Może byłoby lepiej, gdybym nie powtarzała słów babci... Może to nie jest... prawda?

Milczeli. Po kilku chwilach lord powiedział:

- To raczej ja jestem winien tobie przeprosiny. Nienawidzę jednak, gdy się mnie okłamuje, a właśnie niedawno zdarzyło mi się coś takiego.

- Co się stało? - spytała Carmela.

Przez chwilę wydawało się jej, że nie powie, co go tak zdenerwowało.

Potem, tak jakby doszedł do wniosku, że Carmela także ma prawo wiedzieć, rzekł:

- Kiedy tu przyjechałem, szybko zdałem sobie sprawę, że twój ojciec zaniedbał wiele rzeczy, a ci, którzy u niego pracowali, ciągnęli z tego olbrzymie korzyści.

- To znaczy okradali go?

Lord przytaknął.

- I to jak! Corocznie musiało ginąć tysiące funtów, i to nie w wyniku drobnych kradzieży, ale przez doskonale zorganizowane i kontrolowane oszustwa.

Carmela jęknęła.

- To straszne! Galeston wygląda tak pięknie, że trudno pojąć, iż ktoś mógłby zachowywać się podle w takim pięknym otoczeniu!

- Też tak sędzę - odparł twardo lord - dlatego też zwolniłem z pracy największych złodziei, ale jestem przekonany, że jest ich znacznie więcej.

- A konkretnie czym się zajmowali?

- Najgorszy był zarządca, człowiek nazwiskiem Matthews - odpowiedział lord. - Jego współnikiem był księgowy, Lane. Przez wiele lat udawało im się bezkarnie okradać majątek. Carmela westchnęła.

- To bardzo smutne.

- Dla mnie jest to raczej irytujące.

- Zatem zwolniłeś ich?

- Oczywiście. Dałem im czterdzieści osiem godzin na wyjaśnienie wszystkiego i nigdy już nie dostaną tutaj pracy.

- Zasłużyli sobie na to - stwierdziła Carmela.

- I tak mają dużo szczęścia: za to, co zrobili, groziło im więzienie albo zesłanie do Australii, jeżeli przedtem by ich nie powieszono - wyjaśnił. - Zdecydowałem się ich oszczędzić,

aby zachować dobre imię twojego ojca i umknąć skandalu, jaki by wybuchnął w razie procesu.

- To bardzo wielkoduszne - rzekła Carmela.

- Moja dobra wola została już doceniona - lord nie ukrywał goryczy - gdy Matthews spalił przed ucieczką swój dom. Zastanawiam się teraz, czy nie powinienem był kazać go aresztować.

Carmela nie odrzekła.

Rozmyślała nad tym, co powiedział i zaczynała rozumieć jego nienawiść do wszelkiego rodzaju kłamstwa i oszustwa. Zastanawiała się także, co będzie czuł, gdy w końcu dowie się, że ona także ma je na sumieniu.

Wiedziała, że nie będzie mogła stawić czoła rozgniewanemu lordowi, kiedy dowie się on o ślubie Felicity. Pozostanie jej tylko ucieczka i nadzieja, że lord jej nie odnajdzie.

Był wprawdzie władczy i pewny siebie, czego dał przykład planując jej małżeństwo z księciem i nie bacząc na jej uczucia, nie chciała go jednak ranić.

Po chwili uświadomiła sobie, że tylko zarozumiałość każe jej sądzić, iż potrafiłaby zranić lorda.

Był tak zarozumiały i pewny siebie, że rozgniewa go jedynie fakt, iż mylił się w ocenie jej osoby.

Carmela wiedziała, że odkąd przebywali z sobą częściej, lord traktuje ją jak równą sobie, a ich wspólne pogawędki także dla niego były atrakcją.

Lubi mnie i chyba mi ufa, myślała Carmela.

Spojrzała na pomnik i pomyślała, że już teraz boi się chwili, kiedy lord się dowie, że nie jest osobą, za którą się podawała, i że wszystko, co robiła od momentu przyjazdu, jest jednym wielkim kłamstwem.

Żenowały ją własne myśli. Hrabia stał u jej boku, zmusiła się, by przenieść wzrok na otaczające ich widoki.

Podziwiała dom, jezioro i ogrody, wszystko lśniące w dali w słońcu niczym dziecięce zabawki.

Widziała drzewa w parku i przechadzającego się nieopodal jelenia, łabędzie pływające po jeziorze i flagę łopoczącą nad jednym z dachów.

Lord śledził jej spojrzenie i po chwili powiedział cichym, jakże zmienionym głosem:

- Nie chcę, by cokolwiek temu zagroziło...

- Na pewno nie zagrozi - przytaknęła skwapliwie Carmela. - Jestem pewna, że pod twoim czujnym okiem posiadłość odzyska swój blask i taka też pozostanie.

Myślała na głos i dopiero po chwili spostrzegła, że lord nie patrzy już na zabudowania, lecz z lekko drwiącym uśmiechem wpatruje się w nią.

- Czy to komplement? - spytał. - Jeżeli tak, to pierwszy od chwili twojego przyjazdu.

- Uważasz mnie za niewdzięcznicę, prawda?

- To się jeszcze okaże - powiedział i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Dziewczyna zaśmiała się.

- Nie mówiłam do tej pory zbyt wiele o Galeston ani o tobie, gdyż czułam się nieco przytłoczona wspaniałością tego, co zobaczyłam. Poza tym byłam tym wszystkim nieco onieśmielona.

- A jak czujesz się teraz?

- Chcesz, żebym powiedziała: im dalej w las, tym więcej drzew? Czym lepiej się znamy, tym bardziej się nienawidzimy?...

- Miałem tylko nadzieję - odparł - że będzie ci tu dobrze i że mieszkając w Galeston, będziesz szczęśliwa. Na tym zależy mi najbardziej - dodał cicho.

Jego głos brzmiał ciepło i Carmela już chciała powiedzieć, iż jest szczęśliwa, ale uprzytomniła sobie powód, dla którego lord był dla niej tak miły.

- Jeżeli naprawdę zależy ci na moim szczęściu, to dlaczego chcesz, bym opuściła miejsce, które zaczynam kochać, i udała się do jakiegoś obcego kraju, który nigdy nie będzie moim domem?

Było to naprawdę bardzo dobre pytanie. Ciekawe, jak lord sobie z nim poradzi?

Ku jej zdziwieniu, nie powiedział nic, tylko na nowo zaczął wpatrywać się w dalekie zabudowania. Carmela czuła jednak, że to nie potrzeba podziwiania pięknego krajobrazu odwróciła jego uwagę.

- Powinniśmy już wracać - powiedział nagle. - Jedźmy wolno, w przeciwnym bowiem razie konie połamią nogi.

Poznała po jego głosie, że nie miał ochoty z nią rozmawiać. Być może miał jej za złe, że wykorzystywała nieobecność księcia, by próbować wpłynąć na zmianę jego decyzji o jej małżeństwie.

Ponieważ nie chciała go złościć, rzekła tylko:

- Czy byłbyś tak miły i pomógł mi dosiąść Flycatchera? Sama chyba nie dam rady.

- Oczywiście - odparł krótko. Umiejętnie usadził ją w siodle i podał wodze.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. Spojrzała na niego i w tym samym momencie on spojrzał na nią. Ich spojrzenia spotkały się i Carmela poczuła, że lord jakby mówi do niej coś ważnego, coś, czego przedtem nigdy nie mówił.

Trwało to tylko chwilę. Zaraz potem odwrócił się, by dosiąść własnego konia, i Carmela była prawie pewna, że to, co się przed chwilą wydarzyło, było tylko przywidzeniem.

Niemniej jednak zjeżdżając w dół, czuła przyspieszone bicie serca.

Jechali przez las, a po kilkunastu minutach znaleźli się na drodze prowadzącej do domu.

Było prawie południe, gdy kłusem przejechali przez mostek łączący dwa brzegi jeziora przed pałacem.

Oczom ich ukazały się trzy karety stojące naprzeciw drzwi wejściowych.

Carmela cicho jęknęła.

- Nie powiedziałaś mi, że na obiedzie będą goście.

- Nikogo nie zapraszałem - odparł krótko.

- Zatem kto przybył?

- Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że będziesz miała przyjemność poznać niektórych naszych krewnych.

- O, nie! Tylko nie to! - wykrzyknęła z przerażeniem Carmela. Ale lord miał rację.

Nie było nic zaskakującego w fakcie, że prędzej czy później wieść o przybyciu Carmeli do Galeston rozejdzie się po okolicy i wszyscy krewni będą chcieli spotkać się z dziewczyną, którą uważali przecież za Felicity.

Przebrawszy się w piękną suknię, Carmela zeszła do salonu, gdzie podobni do obrazów wiszących na ścianach oczekiwali ją członkowie rodziny Gale'ów.

Niektóre kobiety były całkiem urodziwe, jednak żadna swą urodą nie dorównywała Felicity. Wszystkie miały pewne wspólne cechy i ku zdziwieniu Carmeli tworzyły całkiem miłą dla oka rodzinę.

Ale najbardziej zaskakującą rzeczą był fakt, że krewni nie przyjechali tylko na wieść o pobycie Carmeli u lorda; drugim powodem była wiadomość o jej fortunie...

Gdy dziewczyna została przedstawiona wszystkim członkom rodziny, jakaś starsza kobieta pociągnęła ją ku sofie i powiedziała:

- Zawsze pragnęłam ujrzeć cię jeszcze raz, Felicity, chociaż wątpię, czy pamiętasz, jak często widywałyśmy się, gdy byłaś dzieckiem.

- Obawiam się, że nie...

- Miałaś problemy z wymówieniem mojego imienia, które brzmi kuzynka Louise - ciągnęła kobieta. - Bardzo byłam przywiązana do twojej babki i nie było tygodnia, byśmy się nie spotkały i nie poplotkowały razem.

- Musiałaś za nią tęsknić, kiedy wyjechała - odparła Carmela.

- Nie tylko tęskniłam, ale byłam głęboko zraniona, gdy nie odpisała na moje listy.

Carmela nie wiedziała, co odpowiedzieć i dlatego postanowiła milczeć.

- Gdy umarła, trudno mi było uwierzyć, że nie zostawiła mi nawet najmniejszej pamiątki po tym, co wydawało się tak głębokim przywiązaniem.

- Nie wydaje mi się, by babcia zostawiła pamiątkę komukolwiek - pocieszyła ją Carmela.

- Wiem o tym! Ty masz wszystko! Musisz czuć się bardzo szczęśliwa, posiadając taki majątek, gdy tymczasem reszta rodziny została zignorowana i zaniedbana!

Głos brzmiał ostro i Carmela czuła się prawie tak, jakby ją zaatakowano. Skąd, do licha, dowiedzieli się o testamencie babci, skoro Felicity i lord powiedzieli, że wszystko było utrzymane w największej tajemnicy?

- Kiedy udałam się do biura doradcy prawnego rodziny i zażądałam testamentu twojej babki, nie mogłam wyjść ze zdziwienia. Jakże wzbogaciła się przez te wszystkie lata, które minęły od jej wyjazdu!

Carmelę ogarnął niesmak z powodu wścibstwa krewnej. Zastanawiało ją także, dlaczego prawnik zgodził się wyjawić takie informacje.

Lord, jakby czując jej zmieszanie, podszedł i powiedział:

- Felicity, nie pozwól księżnej zawładnąć całym swoim czasem. Inni członkowie rodziny też pragną z tobą porozmawiać.

Carmela natychmiast wstała. Później dowiedziała się od lorda, że prawnik tak bał się księżnej, iż nie potrafił oprzeć się żadnemu jej życzeniu.

Pozostali kuzyni nie byli już tak dystyngowani jak księżna.

Wiele kobiet zostało żonami przedstawicieli okolicznych wielkich rodów, mimo to trudno było Carmeli zlokalizować je w drzewie genealogicznym Felicity.

Wkrótce okazało się, że choć wizyta u głowy rodziny była nie zapowiadana, gdy lord zapytał ich, czy mają zamiar zostać na obiedzie, wszyscy sprawiali wrażenie zaskoczonych.

- Oczywiście, Selwyn - odezwała się jakaś wdowa. - Nie spodziewaj się, że wrócimy do domu, nie posiliwszy się uprzednio!

Wszystkich poczęstowano szampanem i za niezwykle wyczyn szefa kuchni należało uważać fakt, iż obiad opóźnił się tylko o dwadzieścia minut i wyglądał tak, jakby był planowany od wielu dni.

Rozmowa z księżną uświadomiła Carmeli pewne sprawy. Krewni spoglądali na nią nie tylko z ciekawością, ale również z zazdrością połączoną z odrobiną złości.

Czuła napięcie w ich głosach, kiedy pytali o jej plany na przyszłość i o to, gdzie zamierza mieszkać.

- Może mieszkać u mnie, jeżeli tylko sobie życzy - oświadczyła księżna usłyszawszy ostatnie pytanie.

Zanim Carmela zdążyła odpowiedzieć, ktoś inny się odezwał:

- Dobrze wiesz, Louise, że dla ciebie byłoby to niewygodne. Myślę, że Felicity bardzo dobrze czułaby się w

naszym domu. Ona i Mary są prawie rówieśnicami i jestem pewna, że doskonale by się rozumiały.

To twierdzenie wzbudziło zawziętą dyskusję, która kojarzyła się Carmeli z walką psów o dużą kość.

Wiedziała, że walka toczyła się o wysoką stawkę, a mianowicie o majątek Felicity.

Zastanawiała się, jaką reakcję wywołałoby jej oświadczenie, że jest biedna jak mysz kościelna i byłaby zachwycona możliwością zamieszkania w jakimkolwiek luksusowym domostwie.

Była pewna, że w jednym momencie wszyscy zamilkliby, natychmiast zapominając o swojej gościnności.

Właśnie to przekonało ją, że Felicity postąpiła słusznie decydując się z Jimmym na ucieczkę do Francji.

Poczuła wstyd za tych niebiednych przecież ludzi, którzy zniżali się do takich rzeczy tylko z zachłanności.

W pewnym momencie odezwał się lord, a w jego głosie brzmiały władcze tony:

- Jestem pewien, iż wszyscy jesteście gotowi zapewnić Felicity dach nad głową. Cieszy mnie wasza hojność, jednak jako jej opiekun poczyniłem już pewne starania zmierzające do zapewnienia jej godnej i dostatniej przyszłości. Będziecie o wszystkim na bieżąco informowani.

- Plany? - zdziwiła się księżna. - Ale dlaczegoż właśnie ty miałbyś przejmować się Felicity?!

- Ponieważ jest sierotą, a ja jestem głową rodziny - odparł szorstko.

Zapadła cisza spowodowana najprawdopodobniej faktem, iż Gale'owie nie mogli znaleźć żadnej odpowiedzi na oświadczenie lorda. Ponieważ wyglądali na całkiem pokonanych, Carmela odezwała się słodkim głosem:

- Dziękuję wam wszystkim za to, że jesteście tacy... mili. Jestem wzruszona faktem, iż oferujecie mi dach nad głową. Dzięki temu nie czuję się już tak samotna, jak przedtem...

- Och, moje słoneczko! - wykrzyknęła jakaś starsza pani.
- Nigdy już nie będziesz się czuła samotnie. Jesteśmy przecież rodziną, musimy sobie nawzajem pomagać i zawsze trzymać się razem.

- Jak najbardziej - przytaknęła księżna. - Czy ktoś z nas miał na myśli coś innego?

Czuło się wyraźnie, że wszyscy winili hrabinę za odłączenie się od rodziny, a co się z tym wiązało - za odebranie im Felicity.

Gdy opuszczali dom po skończonym posiłku, każdy odciągał Carmelę na bok, tak aby inni nie słyszeli, o czym będzie mowa.

- Nie chcemy wtrącać się do planów Selwyna co do twojej przyszłości, ale jeżeli nie czujesz się szczęśliwa - tylko powiedz.

Księżna była bardziej bezpośrednia:

- Jeżeli byłabyś zmuszana do robienia czegoś, na co nie masz ochoty, daj mi znać. Zaopiekuję się wtedy tobą, choćby ze względu na pamięć twojego ojca.

- Dziękuję bardzo - odparła Carmela. Księżna wzięła ją za rękę i odciągnęła na stronę.

- Teraz posłuchaj, dziecińko! Nie spiesz się z wychodzeniem za mąż za pierwszego, który cię o to poprosi. Z twoim majątkiem możesz przebierać w kawalerach jak w ulęgałkach.

Carmela uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

- Wykażesz tylko zdrowy rozsądek - ciągnęła księżna - jeżeli przedtem zapytasz mnie o radę.

- To bardzo uprzejme z pani strony tak martwić się o mnie.

Po krótkiej chwili księżna ciągnęła dalej:

- Słyszałam, że był tu jakiś książę z kontynentu? Czy starał się o twoją rękę?

Carmela nie widziała żadnego powodu, by nie powiedzieć prawdy:

- Tak sędzę - odparła cicho. Księżna prychnęła z niesmakiem.

- Mogłam się była tego domyślić, kiedy rano dowiedziałam się, że tu był. Bądź jednak ostrożna z obcokrajowcami. Nie można im ufać, a jeżeli chodzi o mężów, to najlepsi są Anglicy. Uwierz mi.

- Zapamiętam sobie te słowa, madam.

Księżna rozejrzała się po pokoju: lord rozmawiał z jakimś kuzynem.

- Selwyn przez długi czas był za granicą - powiedziała niby do siebie. - Przez rok przyzwyczai się do naszego stylu życia i zaakceptuje panujące tu zwyczaje. Przynajmniej mamy taką nadzieję.

Powaga, z jaką księżna wygłaszała swe opinie, szalenie bawiła Carmelę i tylko siłą woli dziewczyna powstrzymywała się od parsknięcia śmiechem.

Na szczęście, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, podeszła do nich jakaś kobieta i rzekła:

- Mieszkam tylko siedem kilometrów stąd i sędzę, że mogłabyś przyjechać do nas na obiad w przyszłą niedzielę. Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz moich uroczych synów. To przecież normalne, że kuzyni się przyjaźnią.

- Chyba raczej chodzi ci o to - szorstko przerwała księżna - żeby Felicity wyszła za jednego z nich. Gdy to zrobi, cały jej majątek pójdzie na spłatę ich długów karcianych.

- Jak możesz mówić coś takiego, Louise - odparła urażonym głosem matka dwóch uroczych synów.

- Wiesz, że zawsze mówię prawdę. Dlatego Felicity powinna słuchać mnie, a nie waszych tanich pochlebstw. A teraz do widzenia, muszę już iść.

Księżna oddaliła się, by pożegnać się z lordem i innymi członkami rodu. Starsza kobieta mówiła dalej:

- Nie słuchaj kuzynki Louise. Mimo że wszyscy darzymy ją wielkim szacunkiem, nie zawsze można brać ją poważnie. A teraz obiecaj mi, Felicity, że przyjmiesz moje zaproszenie na obiad.

- Porozmawiam o tym z lordem - odparła wymijająco Carmela. - To zrozumiałe, że wpierw muszę mieć jego zgodę.

- Tak, oczywiście - brzmiała odpowiedź. - Z drugiej strony, mimo iż Selwyn traktuje swe obowiązki głowy rodziny nader poważnie, wydaje się nieco za młody, by być opiekunem takiej dziewczyny, jak ty.

- Pozwolisz, że o tym będę decydował ja - przerwał jej lord.

Carmela i jej rozmówczyni podskoczyły przestraszone, gdyż nie słyszały, kiedy do nich podszedł.

- Nie miałam zamiaru cię obrazić - wykrzyknęła kobieta. - Sądziłam tylko, że Felicity może być szczęśliwsza, żyjąc w rodzinie.

Lord nic nie powiedział, ale z błysku uciechy w jego oczach Carmela wywnioskowała, iż także bawił go ten nagły przyływ rodzinnych uczuć, spowodowany raczej majątkiem Felicity, niż nią samą.

Kiedy wreszcie pożegnano ostatniego z Gale'ów, lord z uśmiechem spytał:

- Mam nadzieję, że dobrze bawiłaś się na tym jarmarku najczystszej hipokryzji!

Carmela wybuchnęła śmiechem.

- Zastanawiam się - ciągnął - czy też tak ochoczo by cię zapraszali, gdybyś nie miała grosza przy duszy?

Carmela myślała już o tym, ale odparła:

- Może naprawdę chcieli być mili.
- Ludzie zawsze są mili dla bogatych!
- Uważam tę uwagę za nazbyt cyniczną! Można ją odnieść do kilku osób, ale z pewnością nie do wszystkich.
- Jeżeli chodzi o twoich krewnych, to do wszystkiego, co mówią, trzeba odnosić się z rezerwą.

- Równie dobrze może to dotyczyć ciebie - odparła Carmela.

- Wiedziałem, że to powiesz - zasepił się lord. - Wiedz jednak, że proponując ci księcia Fredericha za męża, byłem absolutnie przekonany, iż z kobiecego punktu widzenia nie będzie korzystniejszego kandydata.

Carmela wiedziała, że mówił prawdę, jednak by zdenerwować go trochę bardziej, powiedziała:

- Przynajmniej mam teraz jakiś wybór! Pomyśleć tylko, że każdy z moich krewnych ma co najmniej jednego kandydata do mojej ręki... i do mojego majątku, oczywiście!

- I kto tutaj jest cyniczny? - spytał lord. - Pozwól sobie przypomnieć, że aby wyjść za kogokolwiek, wpierv musisz uzyskać moją zgodę.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że zabroniłbyś mi wziąć za męża kogoś z twojej własnej rodziny? - zdziwiła się Carmela. - Na pewno nie byliby zachwyceni tą nowiną...

Lord wybuchnął śmiechem. Widać było, iż teorie Carmeli naprawdę go bawiły.

- Ciągłe mnie zadziwiasz, Felicity! - powiedział. - Jestem pewien, iż większość kobiet nie traktowałaby tematu swojego małżeństwa tak lekko.

- Wolałbyś, abym siedziała cicho, rzucając wkoło nieśmiałe spojrzenia? - spytała Carmela. - Czułam się tak, gdy po raz pierwszy poruszono temat mojego zamążpójścia.

Jednak teraz, gdy prawie każdy o tym dyskutuje, naprawdę trudno mi się czerwienić.

Lord milczał przez chwilę. Potem powiedział:

- Odnoszę wrażenie, że me traktujesz sprawy twojego przyszłego małżeństwa tak poważnie, jakbym sobie tego życzył.

Zamilkł na moment, a zaraz potem ciągnął:

- Nie potrafię tego wytłumaczyć... Mówiłem już kiedyś, że nigdy nie miałem większych doświadczeń z dziewczętami w twoim wieku... Ale jest coś... nie umiem wskazać tego palcem, niemniej jednak to coś każe mi sądzić, że nie jesteś ze mną szczerą.

Carmela pomyślała, iż lord jest bardziej spostrzegawczy, niż się spodziewała.

Trudno było mu to wyrazić słowami, ale czuł, że dziewczyna wcale nie bała się ślubu z księciem i że ostatecznie uda jej się umknąć.

Carmela pomyślała, iż jemu, dowódcy, prawdopodobnie pierwszy raz w życiu zdarzyło się, że został zaskoczony przez kogoś niższego rangą.

Wiedziała, że to właśnie dzięki dużemu doświadczeniu w obcowaniu z ludźmi zrodziło się w nim podejrzenie, iż nie była taka, na jaką wyglądała. Ciągłe jednak nie umiał sobie tego wytłumaczyć logicznie.

Szybko powiedziała:

- Nie chcę teraz się martwić księciem. O ile pamiętasz, mieliśmy po południu pójść nad jezioro i sprawdzić, czy uda nam się złowić jakąś rybę.

- Nie zapomniałem; myślałem, że nie masz na to ochoty...

- Mam ochotę nie tylko na łowienie ryb - odparła z uśmiechem Carmela. - Na co jeszcze czekamy?

Lord zaśmiał się; ruszyli powoli w kierunku jeziora po trawniku otaczającym dom.

Kładąc się wieczorem do łóżka, Carmela wracała pamięcią do dnia, który właśnie się kończył. Nigdy przedtem tak dobrze się nie bawiła.

Rozmawiać z lordem bez tych ciągłych grzeczności, jak to było przy księciu, kłócić się z nim na tuziny tematów - naprawdę, trudno było wyrazić słowami. urok i czar tego popołudnia!

Od śmierci ojca nie czuła się tak szczęśliwa. Kiedyś godzinami siedzieli z ojcem przy stole po skończonym posiłku, rozmawiając. Nie ruszali się z maleńkiej kuchni, ale ich umysły wędrowały po całym wszechświecie, poznając nowe kraje, ludzi, religie... Te rozmowy znacznie poszerzały horyzonty Carmeli, było to, jak ujął to jej ojciec, „zdobywanie szczytów umysłu”, o których istnieniu wcześniej nie wiedziała.

Rozmawiając z lordem czuła to samo. Dzisiaj w drodze do domu powiedział:

- Jak to możliwe, że jesteś tak inteligentna, skoro ja oczekiwałem kogoś zupełnie innego?

- Chcesz powiedzieć: kogoś głupawego i nie umiejącego zachować się w towarzystwie? - odrzekła z uśmiechem Carmela.

- Już wiem, że będę musiał nie tylko przekonać cię do moich planów, ale także samemu popracować nad moją wiedzą i znajomością świata.

- Chciałabym móc zasuszyć to wyznanie niczym kwiat i wsadzić do mojego pamiętnika...

Oboje roześmiali się. Przez resztę drogi rozmawiali już poważnie, aż wreszcie Carmela poczuła, że czas do łóżka.

- Wspominałeś coś o przejeździe jutro? - spytała.

- Moglibyśmy pojechać aż na skraj posiadłości, jeżeli tylko nie będziesz miała nic przeciwko chlebowi z serem w jednym z przydrożnych zajazdów...

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła Carmela. - Lubię chleb z serem.

- Doskonale - powiedział. - Każę zatem przygotować śniadanie na ósmą, o ile dla ciebie nie jest to za wczesna pora.

- Na pewno nie zaśpię - obiecała Carmela. - Dobranoc, kuzynie. To był wspaniały wieczór.

- Dla mnie również.

Carmela dygnęła w podzięcie za komplement. Ku jej zdziwieniu, lord ujął jej dłoń.

- Dobranoc, Felicity - powiedział. - Proszę nadal mnie zaskakiwać, a może raczej powinienem powiedzieć: olśniewać, gdyż jest to coś, co sprawia mi ogromną przyjemność.

Mówił to całkiem poważnie, a potem uniósł rękę Carmeli do ust i pocałował ją.

Tego jednego dziewczyna się nie spodziewała. Dotyk jego ust sprawił, że targnęło nią uczucie, jakiego nigdy przedtem nie doznała.

Stała nieruchomo, patrząc na lorda pytająco. Czując jednak rosnące zażenowanie, a także nieśmiałość, wyszarpnęła dłoń z uścisku i nie odwracając się wybiegła z salonu.

Miała wrażenie, że lord ją obserwuje, ale przekonywała siebie, iż to zapewne wyobraźnia.

W sypialni służąca pomogła jej się rozebrać i kiedy wreszcie Carmela znalazła się w łóżku, nie mogła przestać myśleć o lordzie i o tym, jak całował jej dłoń.

Mogła spodziewać się tego po księciu, ale nigdy po lordzie. Trzeba jednak przyznać, że wyszło mu to całkiem naturalnie...

Pomyślała o wszystkich wspólnych rozmowach i doszła do wniosku, że bardzo one przypominały owe zabawne sztuki teatralne, które niegdyś czytywała na głos.

Sam jest tak bystry i inteligentny i prawdopodobnie dlatego mnie też uważa za inteligentną, pomyślała.

Zacząła zastanawiać się, jakie to zabawne czy też prowokujące rzeczy powie mu jutro.

Prawie już spała, gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi sypialni.

Pokój rozjaśniło światło świecy.

- Kto... kto tu jest? - spytała Carmela.

W postaci, która zbliżyła się do łóżka, Carmela rozpoznała Suzy - jedną z młodszych służących,

- O co chodzi, Suzy? - ponowiła pytanie Carmela.

- Przykro mi, że muszę budzić jaśnie panienkę, ale lord prosi panią o zejście na dół. Wydarzył się wypadek i potrzebuje pomocy jaśnie panienki.

- Wypadek! - wykrzyknęła Carmela, siadając na łóżku. - Jaki wypadek?

- To chyba... psy! - wyjąkała służąca. Carmela wstała.

Rzeczywiście, w stajni trzymano kilka psów, a że były one nie tresowane, nie wpuszczano ich do domu.

- Te psy w przyszłości będą domownikami - powiedział kiedyś lord. - Ale byłem ostatnio zbyt pochłonięty innymi sprawami, by dopilnować ich tresury.

Zawsze jednak, gdy szedł do stajni, zwykł głaskać psy, które uradowane okazywaną im sympatią, podskakiwały i wesoło merdały ogonami.

Czyżby coś przydarzyło się jakiemuś psu? Dlaczego lord ją wzywa?

Carmela rozejrzała się w poszukiwaniu szlafroka.

Suknia, którą nosiła przez cały dzień, była zbyt cienka, jak na chłód nocy, więc Suzy wyjęła z szafy gruby atlasowy, prawie zimowy szlafrok.

Zapinając małe perłowe guziczki, zastanawiała się, jaka byłaby reakcja Gale'ów na widok Felicity schodzącej po schodach w nocnym - stroju.

W gruncie rzeczy jednak nie bardzo interesowały ją opinie innych Gale'ów... Ważne było to, że lord jej potrzebował.

- Czy jego lordowska mość ma bandaże? - spytała.

- Tak, pani - odparła Suzy. - Ma wszystko, czego potrzeba, ale bardzo potrzebuje pomocy jaśnie panienci.

Carmela szybkim gestem dłoni odgarnęła włosy z czoła i powiedziała:

- Jestem gotowa!

- Pokażę drogę jaśnie panience.

Mówiąc to, Suzy wzięła świecę i wyszła na korytarz. Zamknęła za sobą drzwi i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż korytarza prowadzącego do schodów. Nie zeszła na dół; ciągle szła w kierunku zachodniego skrzydła domu. Wreszcie doszły do wąskich schodów i zbiegły na dół.

Były teraz z dala od świateł oświetlających główną część budynku i Carmela bała się, że może zgubić się w ciemności. Doszły do mrocznego korytarza, który, jak myślała Carmela, musiał prowadzić do pokoi służby. Suzy jednak nie przystanąła i nie oglądając się za siebie, parła do przodu.

Carmela pomyślała, że idą w kierunku stajni, gdzie pewnie jest lord z rannym psem. Nagle Suzy zatrzymała się, by po chwili skrócić w jeden z bocznych korytarzy; prowadził do drzwi wyjściowych.

Carmela cały czas zastanawiała się, co też takiego mogło się stać, że lord w środku nocy prosi ją o pomoc.

Suzy otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz, niknąc w ciemności. Carmela poszła jej śladem. Ledwie znalazła się poza zasięgiem bladego światła dochodzącego z szeroko otwartych drzwi, zarzucono jej na głowę jakiś gruby i ciemny materiał.

Krzyknęła, przerażona, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że jej głos jest tłumiony przez ów materiał.

W tej samej chwili czyjeś brutalne ramiona uniosły ją do góry.

- Co się dzieje? Postaw mnie na ziemi! - próbowała krzyknąć.

Poczuła, jak obejmujące ją dłonie zaciskają się ciasniej, i głos zamarł jej na ustach. Wydawało się jej, że wyciśnięto z niej oddech niczym sok z cytryny.

Została wrzucona do powozu, konie ostro ruszyły i słyszała teraz tylko odgłos kół na ścieżce.

Ogarnęło ją przerażenie: została porwana!

Rozdział 6

Powóz podskakiwał na nierównej drodze, a Carmela zastanawiała się, dokąd ją wieziono i kto siedzi obok niej.

Pomimo grubego materiału przykrywającego ją do kolan drażniło ją, iż obok siedzi mężczyzna.

Od chwili kiedy wrzucił ją do powozu, nie dotykał jej więcej, ale sam fakt jego bliskości sprawiał, że chciało się jej krzyczeć.

Szybko jednak zdała sobie sprawę, że krzyk nie ma najmniejszego sensu. Po pierwsze, miała wystarczająco dużo rozsądku, by wiedzieć, że i tak nikt jej nie usłyszy; po drugie, pod tak grubym przykryciem nawet oddychać nie było łatwo, a co dopiero wydawać jakikolwiek dźwięk.

Musiało to być coś w rodzaju filcu, gdyż w kontakcie z twarzą było szorstkie i raczej nieprzyjemne.

Niewygoda nie była jednak najważniejsza. Bardziej martwiło ją i zastanawiało, co się z nią stanie i dlaczego została porwana.

Odpowiedź na ostatnie pytanie nie była wcale taka trudna...

Teraz już wszyscy wiedzieli o jej majątku: Gale'owie, ich służący, mieszkańcy pobliskich wiosek...

wydawało się oczywiste, że ktoś zażąda okupu za nią i pozostawało tylko mieć nadzieję, że lord bezzwłocznie zapłaci żądaną sumę.

Po chwili jednak dotarło do niej, że jeżeli tak się stanie, nie będzie miała z czego oddać długu. Pieniądze, które dała jej Felicity, nie starczą.

Fakt, że była bez grosza, jeszcze tylko pogarszał sytuację. Zastanawiała się, co by zrobiła Felicity, gdyby to ją porwano, bo przecież porywacze musieli zakładać, że to Felicity jest w ich rękach.

Nie wolno mi się im sprzeciwiać, powiedziała w duchu Carmela.

Czytała wiele opowieści o ludziach, którzy byli torturowani, gdyż nie chcieli wyjawić miejsca ukrycia skarbu; ich wspomnienie jeszcze bardziej uświadamiało jej, jakim była tchórzem!

Wystarczy nawet najmniejsza groźba, a spełni każde żądanie porywaczy.

Jednocześnie przyszła jej do głowy myśl, że lord może całkiem inaczej patrzeć na całą tę sprawę.

Rozwścieczy go fakt, że będzie musiał zapłacić okup, nie mając możliwości schwytania przestępców.

A jeżeli odmówi zapłaty? - pomyślała zaniepokojona.

Czuła, jak cała drży ze strachu; a jeśli porywacze zechcą ją ukarać za lordowski upór i zawziętość?

Przypomniały jej się historie mówiące o tym, że w podobnych okolicznościach na Wschodzie ofiarę okaleczano tylko po to, by przyspieszyć wypłacenie okupu.

Najpierw wysłaliby palec, potem ucho, aż wreszcie hrabia otrzymałby jej nos...

Było to tak przerażające, że Carmela wolałaby być nieprzytomna. Nie przychodziłyby jej wtedy do głowy podobne rzeczy... Wiedziała, że w skrajnej sytuacji zrobi wszystko, aby tylko pozostać przy życiu.

Powóz ciągle jechał.

Mogła poruszać rękoma pod przykryciem, jednak bała się wykonać najmniejszy gest, w obawie przed interwencją mężczyzny.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest jej zimno w jedną stopę i domyśliła się, że musiała zgubić pantofel, gdy ją przenoszono z domu do powozu.

Powoli i ostrożnie, by nie zwrócić uwagi siedzącego obok mężczyzny, zaczęła masować sobie stopę. Wyteńczyła słuch i wydawało się jej, że mężczyzna ów ciężko oddychał.

Zakaszła i gdy powóz podskoczył na jakimś wyboju, oparł się ramieniem o Carmelę, która pospiesznie odsunęła się od niego, wciskając się w kąt.

Jechali teraz bardzo wolno, chyba po utwardzonej drodze. Trwało to długo.

Wiedziała, że odbyli daleką podróż i że jeżeli nawet lord rozpoczął poszukiwania, odnalezienie jej wcale nie będzie łatwą sprawą.

Zatrzymano konie, siedzący obok niej człowiek otworzył drzwi karety i Carmela po raz pierwszy usłyszała jego głos:

- Arthur, nie możesz podjechać trochę bliżej?

Nie był to głos człowieka wykształconego, ale wbrew jej oczekiwaniom, nie należał także do prostaka. Po chwili drugi mężczyzna odpowiedział:

- Nie, bo utkniemy między drzewami.

- Dobrze - odparł ten pierwszy. - Przywiąż konie i przynieś lampę.

Usłyszawszy słowo „drzewa”, Carmela domyśliła się, że muszą być w jakimś lesie.

Mężczyzna wysiadł z karety, obszedł ją dookoła i otworzył drzwiczki od strony Carmeli, a po chwili wyciągnął ją i wziął na ręce.

Dziewczyna miała ochotę krzyknąć, ale udało jej się powstrzymać.

Mężczyzna był najwyraźniej bardzo silny; niósł ją z zaskakującą łatwością.

Carmela słyszała, jak suche gałązki pękają pod jego stopami i wywnioskowała, że nie idą prostą ścieżką, lecz lawirują pomiędzy drzewami.

Szli tak przez pewien czas, aż wreszcie zatrzymali się i jeden z mężczyzn powiedział:

- Otwórz drzwi.

- Uważaj na głowę - ostrzegł drugi.

Ten, który niósł Carmelę, zrobił jeszcze kilka kroków i posadził ją na podłodze.

Macając wkoło, dziewczyna odkryła, iż siedzi nie na deskach, lecz na klepisku.

Słyszała, jak mężczyźni kręcą się po izbie; z obawy, że któryś mógłby nadepnąć na jej bosą stopę, podkuliła nogi pod siebie.

Nagle, w najmniej oczekiwanym momencie, zdjęto jej z głowy ów przeklęty materiał i mogła już patrzeć.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, były twarze dwóch mężczyzn gapiących się na nią w słabym świetle lampy.

Jeden z nich, w średnim wieku, nie sprawiał wrażenia prostaka, a jego twarz miała całkiem inteligentny wyraz.

Drugi był młodszy, chudy i blady, w okularach na długim nosie.

Milczeli. Carmela wzięła głęboki oddech i spytała:

- Kim... kim jesteście... i dla... dlaczego przywieźliście mnie tutaj?

Już w połowie zdania doszła do wniosku, iż było to głupie pytanie.

Cieszył ją fakt, iż głos jej nie drżał, ale ponieważ brakowało jej powietrza w płucach - nie był zbyt donośny.

Starszy z mężczyzn uśmiechnął się krzywo.

- Powiem ci, dlaczego tu cię przywieźliśmy, lady Felicity!

- powiedział. - Chcemy pieniędzy, i to prędko!

- Wątpię, czy dostaniecie je od jego lordowskiej mości... mojego opiekuna...

Mężczyzna się zaśmiał.

- Chyba nie spodziewasz się, że jego o to poprosimy?

Spojrzał na mężczyznę w okularach i dodał:

- No, Arthur! Powiedz jej, co ma robić!

Dopiero wtedy Carmela zauważyła, że drugi mężczyzna stał obok topornie wykonanej drewnianej skrzyni i wyjmował z torby jakieś papiery.

- Wszystko, co jaśnie panienka musi zrobić, to podpisać ten czek, który dla niej przygotowałem, a także ten list, który w jej imieniu napisałem.

Carmela nic nie powiedziała. Po chwili odezwał się ten starszy:

- Prosimy tylko o to, do czego mamy prawo.

- Co masz na myśli? - spytała.

- Twój opiekun, jak go nazywasz, po latach ciężkiej pracy wyrzucił mnie na bruk bez grosza przy duszy. Podobnie postąpił z moim przyjacielem Lane'em.

Carmela już wiedziała, kim byli mężczyźni: zarządca i księgowy. To oni swymi oszustwami wprawili lorda w gniew; to właśnie Matthews spalił swój dom, zanim uciekł.

Carmeli błysnęła myśl, że powinna przynajmniej powiedzieć porywaczom, ile mieli szczęścia, iż nie zostali wsadzeni do więzienia albo po prostu powieszeni.

Po głębszym namyśle doszła jednak do wniosku, że to i tak niczego nie zmieni i mężczyźni nie porzucą swego planu.

Carmela wiedziała, że gdyby nawet powiedziała im prawdę o swoim stanie majątkowym, tylko by się uśmieiali, nie wierząc ani jednemu jej słowu.

Wydawało się, że czekają, aż coś powie. Zatem po chwili spytała:

- Co zamierzacie ze mną zrobić, kiedy... kiedy już podpiszę ten czek?

Jej głos drżał, gdy to mówiła... Matthews znowu się uśmiechnął tak samo krzywo jak za pierwszym razem.

- Znajdą cię prędzej czy później - powiedział. - Jeżeli oczekując na pomoc poczujesz się nieco głodna, pamiętaj, że to twój opiekun taki właśnie los chciał nam zgotować.

- Chyba zdajecie sobie sprawę, że kiedy zostaniecie schwytani na szantażu, to gdy się weźmie pod uwagę wasze poprzednie przestępstwa, poniesiecie bardzo poważne konsekwencje.

- Nie złapią nas - oświadczył Matthews. - Jedziemy za granicę, prawda, Arthur? Ach, prawie bym zapomniał: może mogłabyś poprosić jego lordowską mość, by w swej hojności zaopiekował się naszymi rodzinami!?

Uśmiechnął się złośliwie, zanim dodał:

- Będzie mnóstwo kobiet tam, gdzie jedziemy!

- Za dużo gadasz - ostrzegł go Lane.

Po tych słowach Carmeli przyszło do głowy, że Lane musiał coś wypić, być może aby dodać sobie odwagi.

Gdy podszedł, by ją podnieść, poczuła alkohol w jego oddechu i wiedziała już, że jej przypuszczenia są słuszne.

Brzydząc się jego dotyku, uwolniła ramię od uścisku i spróbowała samodzielnie dojść do drewnianej skrzyni. Nie było to jednak łatwe, zważywszy fakt, iż miała tylko jeden but i nierówności klepiska raniły jej gołą stopę. Dotarłszy do skrzyni, zauważyła obok niej pień służący za taboret.

Gdy usiadła, Lane wyjął ze skórzanej torby kałamarz i dwa gęsie pióra i położył je przed nią.

List, który leżał na skrzyni, napisany był pismem charakterystycznym dla każdego urzędnika. Podniosła go i przeczytała:

Do Panów Coutts:

Uprzejmie proszę o wypłacenie sumy dziesięciu tysięcy funtów widniejącej na załączonym czeku panu F.J. Matthewsowi.

Z poważaniem,

Carmela zauważyła napis „Galeston Park” otaczający małą koronę wytłoczoną w nagłówku listu i domyśliła się, iż Lane ukradł papier tuż przed ucieczką.

Mężczyźni z uwagą przyglądali się, jak stawiała pierwszą literę podpisu.

- Naprawdę sądzicie, że bank wypłaci wam tak olbrzymią kwotę bez uprzedniego skontaktowania się ze mną?

- Dlaczegoż by nie? - odpowiedział pytaniem na pytanie Lane. - Twoje życie jest znacznie cenniejsze, lady... Jesteśmy jednak rozsądnymi ludźmi i prosimy o sumę, która nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

- Jeżeli chodzi o mnie - wtrącił się Matthews - to uważam, że powinniśmy zażądać znacznie więcej. Arthur, przerób to na dwadzieścia tysięcy! Przydadzą nam się.

Lane pokręcił przecząco głową.

- Nie! Uznają za dziwne, iż taka młoda panna potrzebuje aż tylu pieniędzy gotówką. Nawet dziesięć tysięcy jest ryzykowne.

- Przedtem mówiłeś coś zupełnie innego!

- Zawsze istnieje drobne ryzyko - tłumaczył się Lane. - Znając jednak bogactwo jaśnie panienki, sądzę, iż w banku pomyślą, że kupuje ona konie lub kosztowną biżuterię i nie będą kwestionować listu ani czeku.

- Jeżeli to zrobią - wycodził przez zęby Matthews - zabiję cię. A teraz zabierajmy się do roboty!

Lane spojrzał na Carmelę i wskazał palcem na dół strony:

- Proszę podpisać tutaj, jaśnie panienko.

Carmela zastanawiała się, czy powinna podrobić podpis Felicity, czy też zmienić charakter pisma tak, iż wzbudziłoby to natychmiast podejrzenia u bankierów, którzy odmówiliby wypłaty pieniędzy.

Przez chwilę wydawało się jej, iż jest to doskonały pomysł; dzięki niemu złoczyńcy szybko zostaną schwytani i ukarani.

Było jednak pewne, że na pierwszą oznakę wahania u bankierów - uciekną, a minie zapewne nieco czasu, zanim bracia Coutts poinformują zainteresowanych o przebiegu wydarzeń.

Przez cały ten czas byłaby uwięziona tutaj, w tym baraku postawionym niegdyś przez drwali.

Jeżeli tymczasem nie odnajdzie jej lord, będzie tkwiła tu całe dni, tygodnie może, bez najmniejszej szansy ucieczki.

Postanowiła nieco potargować się z porywaczami, upatrując w tym jedyną szansę odzyskania wolności.

Nie podnosząc pióra powiedziała:

- Czy wrócić uwolnić mnie, gdy to podpiszę i odbierzecie pieniądze?

Matthews zawahał się. Carmela wiedziała, że tak naprawdę miał ochotę powiedzieć, iż życzy jej, by tutaj zgniła, nie odnaleziona przez nikogo...

W jego oczach pojawił się błysk przebiegłości. Powiedział:

- Oczywiście, jaśnie panienko. Będziemy uczciwi, bo przecież panienką postąpi uczciwie wobec nas.

Kłamał. Carmela dobrze wiedziała, że nie miał najmniejszego zamiaru wracać, by ją uwolnić. Otrzymają pieniądze i natychmiast wyjadą za granicę.

Napiszę imię Felicity moim własnym charakterem, postanowiła.

Jakby czytając w jej myślach, Lane powiedział:

- Pożałujesz, jeżeli spróbujesz nas wykiwać!

- Jak to: wykiwać nas? - zdziwił się Matthews. - Cóż takiego może ona zrobić?

- Może tak się podpisać, że bank nie uzna czeku za prawdziwy - wyjaśnił Lane. - I chyba właśnie to ma zamiar zrobić...

Matthews skrzywił się z wściekłości.

- Tylko spróbuj! - wykrzyknął. - Rozerwę cię na strzępy! Wystarczy mi tego, co przeżyłem z twoim kuzynem.

Carmela poczuła, jak ze strachu zamiera jej serce.

- Podpiszę wszystko, tak... tak jak chcecie - wyjąkała.

- Tak będzie lepiej dla ciebie - powiedział Matthews, a zwracając się do Lane'a, spytał: - Wiesz, jak wygląda jej podpis?

- Skąd mam wiedzieć?

- W takim razie będziemy musieli jej zaufać.

- Chyba tak. Poza tym obiecałeś, że wrócimy tu... Ton jego głosu świadczył, że usiłuje dać Matthewsowi do zrozumienia, iż tylko dobrze traktując Carmelę zmuszą ją do złożenia właściwego podpisu. Matthews, nieco pijany, nie zrozumiał jednak tego sygnału:

- Nie wracam do tej chole...

Zauważył jednak znaki, jakie dawał mu Lane zza pleców Carmeli i ledwo powstrzymał się od przekleństwa.

- W porządku - powiedział. - Wrócimy tutaj. Carmela lekko westchnęła; dumiała nad beznadziejnością swego położenia.

Nie mieli zamiaru tutaj powracać, ale jeżeli tylko coś nie pójdzie po ich myśli - przyjadą tu się zemścić.

W milczeniu zanurzyła pióro w kałamarzu i podpisała list, uważnie podrabiając podpis Felicity.

Lane podał jej czek.

Na widok sumy, na którą opiewał, Carmela przypomniała sobie te wszystkie miesiące, kiedy całą rodziną musieli żyć za kilka funtów, gdyż ojciec nie mógł sprzedać żadnego obrazu.

Ale mimo że dziesięć tysięcy funtów wydawało jej się olbrzymią kwotą, w porównaniu z fortuną Felicity nic prawie nie znaczyło.

W milczeniu złożyła następny podpis, podczas gdy Matthews i Lane z uwagą śledzili każdy ruch pióra na papierze.

- Zobaczymy teraz, jak szybko dowiozą nas do Londynu konie, które wynająłeś - powiedział Matthews.

- Będziemy tam przed otwarciem banku - odparł Lane.

Schował czek i list do kieszeni, zakręcił kałamarz i wraz z piórami wsadził go z powrotem do torby.

- Mam nadzieję, że będzie tu jaśnie panience wygodnie. - Na twarzy Matthews'a zagościł złośliwy uśmiech. - Podczas pobytu tutaj możesz zastanowić się nad prawdą zawartą w starym przysłowiu: Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Mówiąc to podszedł do drzwi i schylił się, by nie zahaczyć głową o futrynę. Lane szedł za nim, niosąc latarnię.

- Proszę, nie zostawiajcie mnie w ciemności! - krzyknęła Carmela.

Ale mężczyźni byli już na zewnątrz i jedyną odpowiedzią na jej wołanie był zgrzyt zamykanych drzwi.

Po chwili usłyszała odgłos zasuwanego rygla i dopiero teraz poczuła się jak prawdziwa więźniarka.

Siedziała w zupełnej ciemności. Ponieważ nie widziała światła lampy oddalających się pośród drzew mężczyzn, doszła do wniosku, iż w szopie nie było okna.

Siedziała na spróchniałym pniu, mając przed sobą drewnianą skrzynię. Splotła ręce i zaczęła się zastanawiać, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim ktokolwiek znajdzie ją na takim bezludziu. Drżała teraz nie tylko ze strachu, ale także z zimna. Czuła, jak jej bosa stopa zaczyna drętwieć.

Muszę być rozsądna, pomyślała. Rano zastanowię się nad możliwością ucieczki.

Niemniej jednak gdzieś na dnie serca czało się przeczucie, że nie będzie ona możliwa.

Widziała już przedtem baraki zbudowane przez drwali. Służyły jako magazyny narzędzi, a także jako kryjówki przed deszczem. Budowano je z półbali wbijając je głęboko w ziemię. Dachy miały skonstruowane podobnie.

Narzędzia były cenne i żaden z drwali nie chciał stracić swojej piły czy siekiery, toteż wszystkie baraki były zazwyczaj solidne i posiadały zamki zdolne oprzeć się złodziejom.

Może nigdy mnie nie znajdą, pomyślała ponuro Carmela. Umrę z głodu i zostaną po mnie tylko kości.

Nie było jednak dobrze oddawać się tak posępnym rozważaniom. Musi ufać, iż Bóg będzie miał ją w swej opiece i wysłucha jej modlitw. Postanowiła oprzeć się plecami o ścianę i spróbować zasnąć.

Po omacku znalazła kąt, usiadła w nim skulona otuliwszy nogi szlafrokiem.

Dotykając zimnego klepiska, pomyślała z wdzięcznością o Suzy, która doradziła jej ciepło się ubrać. Dopiero po chwili zreflektowała się: Suzy musiała przecież być współniczką Matthews'a i Lane'a.

Lord będzie bardzo zły, pomyślała. Znowu ktoś go oszukał!

Współczuła mu; uprzytomniła sobie, że sama także go okłamywała. Mimo to była pewna, że gdy tylko lord zauważy jej zniknięcie, użyje wszelkich możliwych środków, by ją odnaleźć.

- Będzie miał ku temu okazję najwcześniej o ósmej rano, gdy Carmela nie zjawi się na śniadaniu. Lord od razu będzie wiedział, że stało się coś złego. Nie pomyśli, że uciekła, nie zabrawszy ze sobą nic z wyjątkiem szlafroka...

Znajdzie mnie... Wiem, że mnie znajdzie, myślała.

Wiedziała, iż minie dużo czasu, zanim to się stanie, ale sama myśl o tym nappełniła ją nadzieją i czekanie stało się mniej nieznośne.

Oparła się o ścianę i słuchała niewyraźnego szelestu drzew.

Gdzieś daleko zaszczekał lis, zahukała sowa...

Gdyby teraz była na zewnątrz, wcale by się nie bała. Las bowiem pojawiał się często w bajkach opowydanych jej w dzieciństwie przez ojca.

Marzyła teraz, by dobre duszki mieszkające w norkach pod drzewami wyszły ze szpar nad klepiskiem chaty i pomogły jej albo żeby ptaki poleciały do Galeston, obudziły lorda i opowiedziały mu, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się Carmela.

Nie mogła wysłać ptaka... Czowała wszakże, że jej myśli szybują aż do wielkiego domu.

Pomocy! Pomocy! - wołała bezgłośnie.

Czy lord mógł odebrać jej wołanie? Czy byli sobie dostatecznie bliscy?

Carmela przypomniała sobie wieczór, gdy lord pocałował na dobranoc jej dłoń. To dziwne, ale za jakąś sprawą ciągle czuła ciepło jego ust muskających delikatną skórę jej dłoni.

Pomocy! Pomocy!

Prawie fizycznie czuła, jak jej myśli płyną w kierunku jedynej osoby, która mogła ją uratować.

Jej ciało i umysł tęskniły do niego...' Po chwili już wiedziała. Była tego pewna: kocha lorda.

Lord obudził się z uczuciem zadowolenia, gdyż wiedział, iż czeka go przyjemny dzień.

Pamiętał o planach z poprzedniego dnia. Przejazdzka konna w towarzystwie kuzynki zapowiadala się niezmiernie interesująco, a poza tym powinna przynieść mu nieco dalszych informacji o posiadłości.

Ziewając, przeciągnął się i właśnie wtedy uświadomił sobie, że w nocy obudził go jakiś niepokój; nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

Leżał przez pewien czas w łóżku, myśląc o tym, jak atrakcyjną i inteligentną kobietą jest Felicity.

Nigdy by mnie nie znudziła, pomyślał, ale czy kobietom potrzebna jest aż taka mądrość?

Gdyby miał syna, chciałby, aby był on sprytny i silny, ale jakimi cechami powinna być obdarzona jego córka, lord nigdy się nie zastanawiał.

Może to czasami być niebezpieczne, niemniej jednak kobieta posiadająca rozum jest chyba bardziej interesująca dla swojego męża.

Księżę nigdy nie będzie nudził się z Felicity, pomyślał lord. Potem zastanowił się, kto jest bardziej inteligentny: księżę czy Felicity. Prędzej czy później to ona zacznie władać Horngelsteinem i księżę nic nie będzie mógł na to poradzić.

To pewne, iż Frederichowi nie spodoba się, że będzie rządziła nim kobieta, w dodatku sprytniejsza od niego.

Lord przypomniał sobie te wszystkie kobiety, z którymi miał krótkie, aczkolwiek burzliwe romanse; żadnej z nich nie udało się tak pobudzić jego umysłu, jak zrobiła to Felicity.

Był pewien, że gdy zatrzymają się dzisiaj na obiad w przydrożnej gospodzie, ona znowu będzie zabawiała go dowcipną konwersacją.

Uwielbiał, gdy patrzyła na niego spod olbrzymich rzęs tym figlarnym spojrzeniem, które nauczył już się rozpoznawać.

Do diabła! - pomyślał. Ona jest za dobra dla młodego Fredericha! Młodzian będzie zakochany w jej ładnej buzi, ale nie doceni jej wspaniałego umysłu.

Kiedy tak myślał o Felicity, miał przed oczyma jej obraz tak żywy, że odniósł wrażenie, jakby to ona sama stała obok łóżka.

Lord przewrócił się na drugi bok, zmusił się do myślenia o czym innym i ponownie zapadł w sen.

Służący bezszelestnie wszedł do sypialni i postawił obok łóżka tacę z czajniczką herbaty oraz cienką kromką chleba z masłem.

Następnie podszedł do okna, by odsunąć zasłony i wpuścić do wnętrza nieco porannego słońca. - Miły poranek, Jarvis - powiedział lord.

- Tak, wasza lordowska mość. Przepraszam, ale muszę powiedzieć, że pani Humphries jest zmartwiona.

- Zmartwiona? A czymże może ona być zmartwiona?

Lord nalał herbaty do filiżanki.

- Nie może znaleźć panienki Felicity!

Na twarzy lorda odmalowało się zdziwienie.

- Co to znaczy: nie może znaleźć?

- To jest, nie ma jaśnie, panienki w jej pokoju. Prosiła, aby obudzić ją wcześniej, jako że wybierała się na przejażdżkę konną z panem, ale nigdzie jej nie ma.

- Musiała wstać rano i pójść do stajni - zawyrokował lord.

- Nie, wasza lordowska mość. Pani Humphries już to sprawdzała, a poza tym lady Felicity jest nie ubrana. Pani Humphries mówi, że brakuje tylko grubego szlafroka, którego panienka nie używała od przyjazdu tutaj.

- To wszystko rzeczywiście brzmi bardzo tajemniczo - powiedział lord rozbawiony - ale chyba znam rozwiązanie!

Myślał, że być może Felicity poszła oglądać z dachu wschód słońca albo jest w bibliotece i przegląda książki.

Zawsze uważał panią Humphries za starą panikarę, a to, co lokaj opowiadał, było najlepszym tego przykładem.

Zapukano do drzwi i Jarvis poszedł otworzyć.

Rozmawiał z kimś na zewnątrz i po minucie był z powrotem.

- Co tam znowu? - spytał lord popijając herbatę.

- Pani Humphries prosiła, abym przekazał, że przed chwilą znaleziono to przy drzwiach prowadzących do podjazdu.

Mówiąc to, Jarvis wręczył lordowi ranny pantofel z purpurowej satyny.

- Powiadasz, że przy podjeździe?

- Tak, wasza lordowska mość. Pan Newman mówi, że na podjeździe są ślady kół karety, których wczoraj wieczorem tam nie było.

Lord odstawił filiżankę i szybko wstał. Pospiesznie się ubrał i poszedł do pokoju, w którym spała Carmela. Zgodnie z oczekiwaniami spotkał tam załamującą ręce panią Humphries.

- Dobrze, że pan przyszedł! Rozesłałam pokojówki na poszukiwanie panienki Felicity, ale nigdzie jej nie znalazły. W żadnym pokoju...

- Nie rozumiem tego! - wykrzyknął lord.

- Zniknęła także Suzy - ciągnęła pani Humphries. - Nie mówię, że jest gdzieś z panienką Felicity; to leniwe i nieużyte stworzenie, które chciałam właśnie zwolnić.

- Suzy? - spytał lord obojętnym tonem.

- Suzy Lane, wasza lordowska mość. Lord zmarł.

- Czy powiedziałaś: Suzy Lane?

- Tak, panie.

- Czy jest ona może jakąś krewną Arthura Lane'a, księgowego?

- Tak, bratanicą - odparła pani Humphries. - Pan Lane prosił, abym przyjęła ją na służbę. Mimo iż jej zachowanie było dalekie od zadowalającego, dawałam jej szansę za szansą... Nie chciałam mieć kłopotów.

- I powiadasz, że jej także nie ma?

- Emily, dziewczyna, która śpi z nią w tym samym pokoju, mówi, że Suzy musiała wyjść w nocy, jak wszyscy spali. Gdy Emily rano wstała, Suzy już nie było.

Lord nie czekał na dalszy ciąg relacji. Zbiegł po schodach i udał się w kierunku bocznych drzwi prowadzących do podjazdu, na którym znajdowały się ślady powozu, „zupełnie nowe”, jak powtarzał w kółko Newman.

- Nie było tych śladów, panie, gdy wczoraj przed kolacją szedłem, jak się to mówi, na przechadzkę.

- Dobrze, dobrze! Jesteś zupełnie pewien, że tych śladów wczoraj tutaj nie było?

- Absolutnie, wasza lordowska mość. Proszę, niech pan sam zobaczy: powóz był dwukonny.

Pokazano mu miejsce znalezienia pantofla Carmeli.

Lord rozkazał służącym przywołać wszystkich swoich pracowników: ogrodników, służbę stajenną, leśników. Dwadzieścia minut potem wszyscy stali już przed drzwiami frontowymi. Lord wygłosił krótką mowę.

Poinformował zebranych, że lady Felicity zaginęła i prosił, by każdy przeszukał część posiadłości, nie omijając najdrobniejszego krzaka i rowu.

- Czy wasza lordowska mość uważa, że lady Felicity została porwana? - spytał stajenny.

- Istnieje takie prawdopodobieństwo - odparł krótko lord.

Przypomniął sobie, jak dużo Gale'owie rozprawiali o majątku Felicity. Podobnie jak i Carmela, zdawał sobie sprawę, że wiedziała o tym cała służba i wiadomość musiała się już roznieść po okolicy.

Do diabła z pieniędzmi! - powiedział w duchu lord. - Najważniejsze, żeby Felicity była bezpieczna.

Gdy wydał już wszystkie dyspozycje, dosiadł swego konia i pogalopował samotnie na poszukiwania.

Kierowało nim dziwne uczucie absolutnego przymusu. Po raz pierwszy w życiu doznawał takiego uczucia.

W głowie kłębiły się najstraszniejsze myśli: Felicity została skrzywdzona, otruta albo zraniona. Jeżeli nawet nie skrzywdzili jej fizycznie, to przy jej wrażliwości każde, nawet najmniejsze nieprzyjemne przeżycie mogło stać się przyczyną olbrzymiego szoku.

- Muszę ją odnaleźć, i to szybko - powiedział na głos.

Rozdział 7

Ociągając nieco lejce, lord czuł, że pot oblał całe jego ciało. Jego koń także się pocił.

Znajdował się teraz na samym skraju posiadłości i myślał właśnie, że jeżeli Lane i Matthews uwieźli Felicity do innego hrabstwa, jej odnalezienie będzie prawie niemożliwe.

Przez te cztery godziny, które minęły od chwili rozpoczęcia poszukiwań, lord ku własnemu zaskoczeniu odkrywał wciąż na nowo, że Felicity znaczy w jego życiu o wiele więcej niż ktokolwiek dotychczas, a uczucie, którym ją darzył, było zupełnie nowe, nieznanne...

Jednocześnie miał ochotę zamordować ludzi, którzy ją uprowadzili. Wyrzucał sobie zbytnią opieszałość i żałował, że nie zaskarżył byłych pracowników natychmiast, gdy odkrył, co działo się w jego dobrach.

Rozejrzał się wkoło: znajdował się na obszarze, który niegdyś był lasem, a teraz ogromnym wyrębem. To właśnie stąd kradziono drewno...

Przyszła mu do głowy fantastyczna myśl, iż być może Matthews, opętany chorobliwą żądzą zemsty, przywiózł Felicity tutaj, sądząc, że będzie to ostatnie miejsce, w którym będą jej szukać.

Lord miał wrażenie, że te. myśli przychodzą do niego z zewnątrz, jakby ktoś wysyłał do niego sygnały. Zobaczywszy ślady między pniami, pognął konia, zdając sobie sprawę, że każda minuta jest cenna.

Prawdę mówiąc, nie bardzo liczył, iż znajdzie tu Felicity. Ogarnęło go jednak przemożne, obezwładniające niemal uczucie, że to jego ostatnia szansa.

Chwilę potem jego oczom ukazał się toporny barak, postawiony tu niegdyś przez drwali.

Dzięki słabym promykom słońca, sączącym się przez szpary w belkach, Carmela domyśliła się, iż nastał już świt.

Odgłosy ptaków stawały się intensywniejsze z minuty na minutę, podobnie jak zimno, które zupełnie zawładnęło jej drobnym ciałem. Bała się jeszcze bardziej niż w nocy.

Była wystarczająco rozumna, by zdać sobie sprawę z beznadziejności swego położenia; szanse rychłego jej odnalezienia były bardzo nikłe.

Była pewna, iż las, do którego została uwięziona, należał do rzadziej odwiedzanych części posiadłości lorda. Minie zapewne bardzo dużo czasu, zanim odnajdą ją poszukujący, o ile jacyś zostali w ogóle wysłani...

Wydało się jej, iż usłyszała za drzwiami jakiś odgłos, niepodobny do innych. Natychmiast podbiegła do drzwi.

- Pomocy! Pomocy! - krzyczała.

Odpowiedzią był odgłos kopyt zwierzęcia umykającego przez zarośla, najpewniej jelenia.

Nieco zawstydzona tym, iż tak łatwo poddała się panice, wróciła do kąta, w którym spędziła całą noc, i próbowała uspokoić walące jak oszalałe serce.

- Boję się! - Już nie mogła się oszukiwać. - Boże, jak ja się boję!

Promyki słońca przebijające się przez szpary tężały z upływem godzin, ale nic już się nie wydarzyło

Ponieważ w nocy prawie nie spała, teraz wyczerpana zapadła w nerwową drzemkę.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, usłyszała odgłos odsuwanego rygla. Mocniej wcisnęła się w kąt, pełna obaw, iż może to wracają Matthews i Lane.

Otworzyły się drzwi i zobaczyła w nich zarysy mężczyzny: skąpaną w blasku słońca sylwetkę na tle drzew. Krzyknęła z radości; zdawało się, że cały barak wypełnił się najpiękniejszą muzyką.

Nie minęła sekunda, gdy obejmowała lorda, przytulając twarz do jego piersi.

- Odnalazłeś mnie! Od... odnalazłeś! Modliłam się o... o to... byś przyszedł! Tak bardzo się bałam, że... że umrę, zanim... zanim przyjdiesz!

- Odnalazłem cię - powiedział lord zmienionym głosem.

I gdy po jej policzkach spływały pierwsze łzy ulgi, uczuła jego usta na swoich.

Czując ich dotknięcie myślała tylko o tym, że jest bezpieczna, że jest blisko niego i że bardzo, ale to bardzo go kocha.

Całował ją namiętnie, a cały strach i przerażenie ubiegłej nocy odchodziły w niepamięć, gdyż naprawdę liczył się tylko on, jego bliskość, bliskość jego ust...

Wydawało się jej, że złote promienie słońca przenikają jej ciało, wędrując wraz z jej pocałunkiem wprost do serca lorda.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Całował łzy spływające z jej policzków, oczy, czoło, włosy i znowu usta. Z całej siły wtuliła się w niego, w nie znanym dotychczas sobie uniesieniu.

Gdy już wydawało się jej, że osiągnęli szczyt rozkoszy, zbyt cudownej i intensywnej, by znieść ją tak długo, lekko pomrukując wtuliła twarz w szyję lorda.

Ciągle go jednak obejmowała, jakby obawiając się, że może zniknąć i znowu zostawić ją samą.

- Jak mogłem dopuścić, żeby to wszystko się wydarzyło? Mogłem cię stracić! - Głos lorda był nieco ochryply i drżący.

- Bałam się... Bałam się, że nigdy mnie nie znajdziesz.

- Odnalazłem cię i nigdy nie pozwolę, żeby coś podobnego się powtórzyło!

Delikatnym gestem podniósł jej twarz ku swojej.

- O mało co nie zwariowałem! Byłem zrozpaczony! - rzekł jakby do siebie.

Zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek, znów zaczął ją całować długimi, namiętnymi pocałunkami; poczuła, iż jej

ciało zlewa się z jego ciałem, że nie jest już sobą, ale częścią tego mężczyzny.

I gdy już myślała, że umarła w nocy i teraz jest w niebie, lord powiedział:

- Muszę zabrać cię do domu. Spojrzała na niego.

- Kocham cię! W nocy przywoływałam cię! Chciałam cię tu sprowadzić, ale bałam się, że mnie nie usłyszysz!

- Nie spałem; myślałem o tobie! - wyznał. - I mimo że trwało trochę, zanim odebrałem twoje sygnały, jestem tutaj, przy tobie. Tylko to się teraz liczy.

Nagle Carmela zdała sobie sprawę, że wyznała lordowi swą miłość i że on ją pocałował. Żadna z tych rzeczy niej miała prawa się wydarzyć.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz, najdroższa. Ja, gdy cię szukałem, wiedziałem nie tylko? że cię kocham, ale także, że nie mogę żyć bez ciebie.

Carmela spojrzała na niego ze zdziwieniem, gdy tymczasem lord ciągnął:

- Możemy być kuzynami, ale nic nie ma znaczenia oprócz faktu, że jesteś moja i nigdy nie pozwolę ci odejść.

Carmela nieco ochłonęła i oceniła teraz sytuację z innej perspektywy; będzie musiała powiedzieć mu prawdę. W tej chwili było to jednak niemożliwe.

Jako że poczuła się słabo, oparła głowę na jego ramieniu, cały czas gorączkowo się zastanawiając, co zrobić i jak mu powiedzieć, że przez cały czas zwodziła go i okłamywała.

W tej chwili jedyną realną rzeczą było wspomnienie jego głosu, gdy mówił, że ją kocha.

- Gdy zaginęłaś - powiedział lord - przypomniała mi się bajka o Kopciuszku; tyle że ty zostawiłaś swój ranny pantofelek. Już wtedy wiedziałem, że musiało stać się coś strasznego.

- Ale... nie wiedziałeś, kto... kto mnie porwał i przywiózł tutaj?

- Gdy powiedziano mi, że zniknęła także bratanica tego łotra Lane'a, wszystko stało się jasne. Porozmawiamy o tym później - wystarczająco dużo przeżyłaś jak na jedną noc. Muszę zabrać cię do domu.

Mówiąc to zręcznym ruchem posadził ją na koniu i odwiązał cugle od sterczącego pnia.

Usiadł za nią, przyciągając ją blisko do siebie i tak wyruszyli w drogę powrotną.

Carmela zamknęła oczy.

W tej chwili myślała tylko o tym, jak bardzo jest bezpieczna i że wyzna wszystko lordowi trochę później, gdy tylko poczuje się nieco silniejsza. Gdy byli już blisko domu, Lord spytał:

- Czy Matthews i Lane powiedzieli ci, co zamierzali z tobą zrobić? Czy wspominali coś o okupie?

- Nie - odparła Carmela. - Kazali podpisać mi czek na dziesięć tysięcy funtów, a także list do Coutts Bank z prośbą o natychmiastowe wypłacenie tej sumy.

- Dziesięć tysięcy funtów... - powtórzył cicho lord.

- Powiedzieli, że gdy dostaną pieniądze, zaraz wyjadą za granicę.

- Postawiłbym ich przed sądem, gdybym przewidział, że sprawy przybiorą taki obrót. Należą oni jednak do tego typu przestępców, którzy prędzej czy później trafią na szubienicę. Pieniądze są nieważne. Dałbym tysiąc razy więcej, abyś była bezpieczna.

Przytulił się do niej mocniej i Carmela spojrzawszy na niego wiedziała, że chciał ją pocałować. Byli jednak zbyt blisko domu.

Lord zaniósł ją do jej sypialni, a służące zaaferowane powrotem paniarki nerwowo kręciły się po pokojach. Carmela

przypomniała sobie, że czeka ją jeszcze rozliczenie się ze wszystkich kłamstw.

Prędzej czy później będzie musiała wyjawić wszystko lordowi... Przeszedł ją dreszcz na myśl o jego gniewie.

Lord zauważył to i spytał:

- Nie jest ci zimno?

- Nie!... Wcale nie! Tylko tak się cieszę, że znowu jestem w domu! - rzekła szybko.

- Ja też się cieszę z twojej obecności - powiedział cicho lord.

Wezwał panią Humphries.

- Połóż lady do łóżka. Daj jej coś do jedzenia i pozwól spać.

- Tak, wasza lordowska mość, oczywiście, panie - odparła pani Humphries. - Jestem niezmiernie rada, że lady wróciła cała i zdrowa.

Lord wpatrywał się w Carmelę leżącą pośród niedbale porozrzucanych poduszek wielkiego łóża, a na jego twarzy zagościł wyraz, którego do tej pory nigdy jeszcze nie widziała.

- Porozmawiamy później - wyszeptał.

Gdy wychodził z pokoju, Carmela chciała pobiec za nim i błagać, by jej nie zostawiaj samej.

Spała, jadła i znowu spała. Ale po herbacie zaczęła nalegać, że wstanie i o własnych siłach zejdzie na kolację.

- Pan powiedział, że nie wolno tego robić, dopóki jaśnie panienka całkiem nie wydobrzeje - przekonywała ją pani Humphries.

- Czuję się doskonale.

Była trochę zmęczona, ale już nie mogła wytrzymać z dala od lorda. Pragnęła jego bliskości, rozmowy z nim; no i pocałunków.

Ilekcroć pomyślała o tych cudownych, magicznych pocałunkach, przechodził ją dreszcz rozkoszy. Wiedziała, iż

lord zawładnął nie tylko jej sercem, ale i duszą; były jego własnością.

Dreńczyła ją tylko jedna myśl, powracająca złośliwie niczym nocny koszmar: lord nie przebaczy jej udawania Felicity!

Może jego gniew zabije miłość i nigdy więcej się nie zobaczą?

Tak bardzo się tego obawiała! Przez cały czas żarliwie się modliła, uspokajając się świadomością, że na razie nie musi nic mówić.

Felicity jeszcze nie wyszła za mąż, a zatem ona mogła udawać ją aż do momentu, gdy pojawią się pierwsze wiadomości o ślubie przyjaciółki.

Kochała lorda, ale ciągle czuła się lojalna w stosunku do Felicity i musiała dotrzymać obietnicy aż do chwili śmierci żony Jimmy'ego.

Była rozdarta pomiędzy chęcią wyznania prawdy człowiekowi, którego kochała, a życiem z nim w ciągłym kłamstwie. Nie potrafiła podjąć decyzji.

Wiedziała: jeśli w swoim gniewie lord każe jej wyjechać, ona już nigdy nie zazna prawdziwego szczęścia, a jej życie stanie się puste, jałowe i pozbawione wszelkiego sensu.

Kocham go! Kocham go! Kocham go! - powtarzała schodząc po schodach do salonu.

Stał w drugim końcu pokoju, wpatrując się w płomienie kominka. Carmela znieruchomiała w drzwiach; jakże przystojnie wyglądał w stroju wieczorowym!

Uśmiechnął się, gdy ich spojrzenia się spotkały i rozłożył szeroko ręce, gdy Carmela z okrzykiem radości zaczęła biec ku niemu.

Objął ją czule, a potem całował długimi, namiętnymi, pełnymi tęsknoty pocałunkami; jakby chciał powiedzieć, że bardzo mu jej brakowało przez ostatnie kilka godzin.

- Kocham cię - rzekł. - A teraz powtórz to, co powiedziałaś mi rano.

- Kocham cię! Nie mogę nic na to poradzić. - Nie chcę, aby była na to jakaś rada.

A potem znowu ją całował.

Odsunęli się od siebie dopiero, gdy lokaj oznajmił, że podano do stołu.

Lord podał jej swoją dłoń i wziął ją pod rękę; poczuł dreszcz, jaki ją przeszedł.

Uśmiechnął się do niej; nie potrzebowali słów, doskonale znali swoje uczucia.

Podczas obiadu ich usta mówiły co innego niż oczy, a Carmeli zdawało się, że są skąpani w niebiańskim świetle.

Po skończonym posiłku wrócili do salonu i gdy Carmela usiadła na sofie, lord przemówił:

- Musimy porozmawiać o przyszłości, najdroższa. Już chciała powiedzieć, żeby odłożyć to na następny

dzień, gdy będzie trochę bardziej wypoczęta, lecz wszedł lokaj ze srebrną tacką.

- O co chodzi, Newman? - spytał lord tonem sugerującym, że nie chce, by mu przeszkadzano.

- Właśnie wróciły konie z Dover - odpowiedział lokaj - i woźnica przywiózł od jego księżęcej wysokości list, który książe napisał natychmiast po wejściu na jacht.

Lord wziął list z tacki i gdy lokaj opuścił pokój, zaczął go otwierać.

- Obawiam się, że nasz dostojny przyjaciel gdzie indziej będzie musiał poszukać sobie żony. Jestem pewien, że razem znajdziemy mu kogoś odpowiedniego.

Zapadła cisza. Po chwili Carmela zaczęła niepewnie:

- Nie... Nie sądzę, by książe żałował, że mnie straci.

Mówiąc to, spostrzegła, że lord nie słuchał jej, ciągle wpatrując się w list. Carmela spytała:

- Co się stało? Cóż takiego napisał książę?
- To nadzwyczajne! - wykrzyknął lord. - Nie mogę uwierzyć, że to nie sen!

- Ale co?

Lord jeszcze raz zerknął na list.

- Książę Frederich napisał ten list już na pokładzie jachtu. Dziękuję mi za gościnność i pisze, że jest wyjątkowo wdzięczny za użyczenie koni i jachtu. Przesyła pozdrowienia używając najbardziej kwiecistych słów.

Carmela słuchała, zaintrygowana, ponieważ w tym, co powiedział lord, nie było nic nadzwyczajnego.

Lord mówił dalej:

- Jest także postscriptum:

Spotkałem pewnego urzędnika naszej ambasady w Londynie. Właśnie powrócił z Paryża i dał mi gazetę, mówiąc, że kupił ją dziś rano. Jestem przekonany, że wycinek, który załączam, zaskoczy cię, lordzie, tak samo, jak zaskoczył mnie

- Wycinek? - spytała Carmela.

W odpowiedzi lord wręczył jej skrawek papieru. Carmela już wiedziała, co zawiera notatka.

Przez chwilę litery tańczyły jej przed oczyma. Potem szybko przetłumaczyła:

Lord Salwick poślubił wczoraj, w kościele Ambasady Brytyjskiej na Rue du Faubourg St. Honore lady Felicity Gale córkę szóstego Lorda Galeston. Młoda para rozpoczęła miesiąc poślubny zatrzymując się w hotelu Fontambleu na Polach Elizejskich

Carmela doczytała do końca i poczuła, że trzęsą się jej ręka.

Nie patrząc na lorda powiedziała wystraszonym, cichym głosem:

- Przebacz mi, proszę, przebacz mi. Miałam ci to powiedzieć, kiedy już będą bezpieczni.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ta wiadomość to prawda? - spytał lord z niedowierzaniem.

Milczenie Carmeli zmusiło go do jeszcze jednego pytania:

- Jeżeli nie jesteś moją kuzynką Felicity, to kim jesteś?

- Jestem jej przyjaciółką. Nazywam się Carmela Lyndon.

Lord podniósł się i stanął tyłem do kominka.

- Przepraszam... Przepraszam... Jest mi ogromnie przykro - wyszeptała. - Felicity była zakochana w lordzie Salwicku od wielu lat...

- To dlaczego nie wyszła za niego? - spytał.

- Dlatego, że lord już był żonaty... bardzo nieszczęśliwie. I jego żona umierała...

Nie patrząc na lorda, Carmela mówiła dalej:

- Zgodziłam się przyjechać tutaj, ponieważ był to jedyny sposób, by Felicity mogła być razem z ukochanym. Poza tym nie chciała, żeby dowiedział się on o jej majątku.

- Dlaczego nie chciała?

Zaskoczyła ją ta obcesowość i nagła szorstkość w głosie lorda. Była zrozpaczona: lord był zły i mogła go stracić, tak jak kiedyś Felicity mogła stracić Jimmy'ego.

Wiedziała, że czekał na odpowiedź, toteż po chwili rzekła:

- Felicity nie chciała, bo on... on jest taki dumny, że odmówiłby poślubienia tak bogatej kobiety.

- To znaczy, że ona okłamywała swojego przyszłego męża, tak samo jak ty okłamywałaś mnie?

- Wiem, że to brzmi strasznie - powiedziała Carmela - ale były to kłamstwa dla... miłości.

Głęboko odetchnęła, zanim znowu przemówiła:

- Wiem, uważasz, że kłamstwa zawsze są złe i nie można ich niczym usprawiedliwić. Czasami jednak, gdy chce się uchronić kogoś od cierpienia albo straty ukochanej osoby, są niezbędne.

Wkładała w słowa całe swe uczucie; wiedziała, że toczy się walka o wysoką stawkę: o jedyną rzecz, która się liczyła.

Potem, sądząc, że lord jej nie zrozumiał, rozplakała się. Gdy łzy zaczęły spływać jej po policzkach, klasnęła w dłonie i powiedziała:

- Błagam, błagam... Możesz w to nie wierzyć, ale kocham cię całym sercem i duszą... Jeżeli każesz mi odejść, to wiedz, że nigdy, bez względu na to, jak długo będę żyła, nie pokocham nikogo innego.

Lord spojrzał głęboko w jej oczy, jakby chciał dojrzeć, co czai się w jej duszy.

Pełna napięcia, czekała na werdykt, wiedząc, że nie ma zbyt wielkich szans. Lord jednak uśmiechnął się.

Jego uśmiech zdawał się rozjaśniać cały salon. Carmeli wydało się, że nawet świece przybladły.

- A więc mnie kochasz? - wykrzyknął. - I ja kocham ciebie! Co teraz zrobimy, Carmelo?

Dźwięk jej imienia wypowiedzanego przez lorda wydał jej się najcudowniejszą muzyką, jaką słyszała w życiu.

Nie mogła już dłużej wytrzymać; wstała i zbliżyła się do lorda, nie dotykając go jednak. Bała się, że źle zrozumiała to, co przed chwilą powiedział.

- Kocham cię - powtórzył. - A ponieważ nie jesteś moją kuzynką, a ja nie jestem twoim opiekunem, wszystko staje się a wiele prostsze.

- Naprawdę tak myślisz?

- Absolutnie.

Przyciągnął ją do siebie i całował, całował, aż świat zaczął jej wirować przed oczyma.

Zawiódł ją do nieba, dał jej księżyc, a na jej szyi rozwiesił gwiazdy.

Gdy już myślała, że na zawsze pozostaną częścią Boga, lord, tuląc ją tak mocno, że ledwo mogła oddychać, spytał:

- Czy moja oszustka ma jakiś pomysł, jak wyplątać się z tego wszystkiego, nie wywołując skandalu?

Spojrzała na niego lekko. Lord wyjaśnił:

- Mieszkasz tutaj bez żadnej opieki... Wszyscy krewni będą zdziwieni widząc, że wychodzisz za mnie używając innego imienia.

- Może mimo wszystko powinnam odejść...

Lord wybuchnął śmiechem i jeszcze mocniej ją przytulił.

- Sądzisz, że pozwoliłbym na to? Nigdy mi już nie uciekniesz, kochana! Co więcej, nigdy mnie już nie oszukasz!

- Nie mam takiego zamiaru... Jak mogłabym cię okłamywać, skoro tak bardzo kocham?

- Wiem o tym - zgodził się. - Ale póki co, oboje musimy powiedzieć kilka „kłamstw dla miłości”, jak sama je nazwałaś.

Przyłożył usta do jej czoła i Carmela wiedziała, że zastanawiał się nad czymś.

- Jak bardzo jesteś podobna do prawdziwej Felicity?

- Jesteśmy bardzo podobne - odpowiedziała. - Ale żeby bardziej się do niej upodobnić, uczesałam włosy tak, jak ona je czesze. Zaczęłam także nosić jej ubrania. - Przypomniała sobie coś i dodała: - Nie mówiłam ci, ale nie mam... żadnego majątku. Moi rodzice nie żyją. Pracowałam na plebanii, zajmując się dziećmi miejscowego pastora.

Widać było, że bała się reakcji lorda na jej wyznanie'. Ten jednak nic nie powiedział, lecz jeszcze mocniej ją objął.

- Będziesz miała wystarczająco dużo pracy zajmując się naszymi dziećmi. A co do pieniędzy, to nie martw się: mam ich tyle, że nie będziemy potrzebowali niczyich - ani twoich, ani Felicity.

Carmela odetchnęła z ulgą. Lord mówił dalej:

- Mam plan, który natychmiast musimy wprowadzić w życie!

- Co to za plan?

Lord mówił powoli, jakby myśląc na głos:

- Jutro z samego rana wyruszymy do Paryża. Znajdziemy Felicity i jej męża i dopilnujemy, żeby nie tylko ich ślub został odnotowany w angielskich gazetach, ale także nasz własny. Szczególnie ważna jest The London Gazette.

Carmela wyglądała na zagubioną, więc lord wyjaśnił:

- Przed chwilą powiedziałaś mi, że zmieniłaś wygląd, by jeszcze bardziej upodobnić się do Felicity. Chcę, abyś teraz wróciła do swojego pierwotnego wyglądu.

Carmela zrozumiała i spytała:

- Naprawdę sądzisz, że gdy wrócimy... Gale'owie będą myśleli, iż jestem kimś... innym? I że naprawdę przedtem widzieli Felicity?

- Sama się przekonasz, że zobaczą w tobie to, co będą chcieli zobaczyć. Kupię ci w Paryżu nowe stroje i jestem pewien, że za pomocą kilku „kłamstw dla miłości” całkiem nieźle uda nam się ich zwieść.

- Jesteś taki sprytny! - wykrzyknęła Carmela. - Na pewno gdy zobaczą Felicity, będą myśleli, że jest to ta sama osoba, którą spotkali dwa dni temu.

- Jeżeli nie, to ich przekonamy - uśmiechnął się lord. - Najważniejsze jednak jest to, że chcę cię za żonę.

Carmela zaczerwieniła się i jeszcze raz ukryła twarz na jego piersi.

- Pragnę cię! Czuję się, jakbym stoczył ciężką bitwę o ciebie.

- Tak... Ale teraz jesteś zwycięzcą - wyszeptała. Lord dojrzał miłość w oczach Carmeli; miała zaróżowione policzki i lekko drżące usteczka.

Powiedział powoli:

- Uwielbiam twoją twarz, podziwiam twój umysł i piękne ciało, ale najbardziej zależy mi na twojej miłości.

- Cała jestem twoja - rzekła cicho. - Powiedz teraz, że mi wybaczasz, ponieważ chcę, żebyś mi ufał...

I wiedz, że nigdy, przenigdy cię nie okłamię...

- Wiem o tym i ufam ci, najdroższa. Widzę, jak promieniuje z ciebie dobroć i uczciwość. Ufam ci całym sercem, sercem, którego do tej pory jeszcze nikomu nie ofiarowałem.

- To najcenniejszy dar, najpiękniejszy. Chcę go zatrzymać na zawsze!

Lord uśmiechnął się; szczęście brzmiało w jej głosie.

Potem przyciągnął ją do siebie i całował, całował, aż uwierzyła w to, co powiedział i wiedziała, że lord podarował jej swoje serce, tak jak ona podarowała mu swoje.

Bez względu na to, co wydarzy się w przyszłości, zawsze będą razem, ponieważ miłość, która ich połączyła, była najprawdziwsza i będzie trwała całą wieczność.